

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 15 maja 1909. Nr. 20.

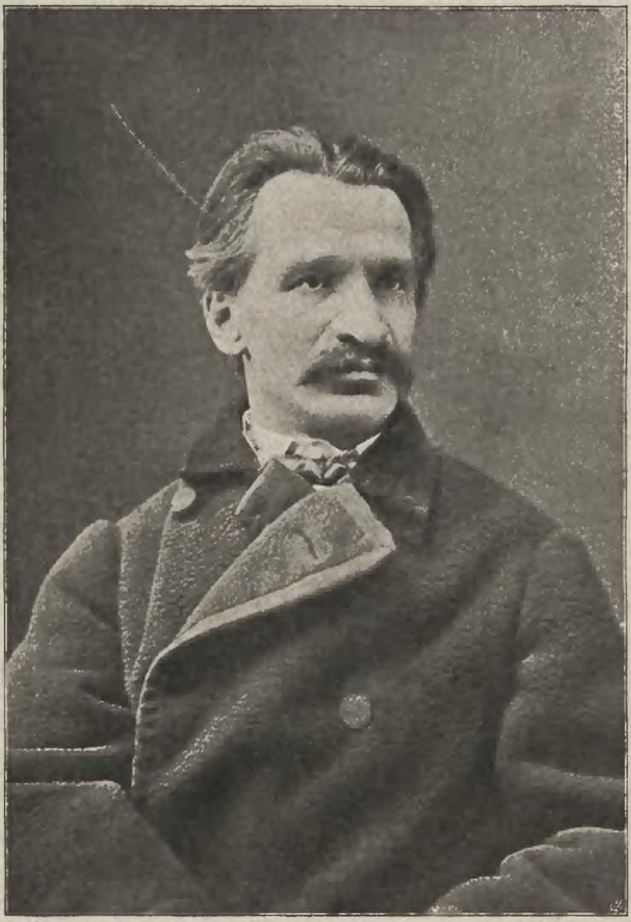
Samobójstwo na grobie ojca.

(Treść na str. 3).



Ku czci Anczyca.

Kraków słynie z tego, że w jego murach udają się najlepiej wszelkiego rodzaju uroczystości o charakterze historycznym, narodowym i wogóle patryo-



Ku czci Anczyca: Ś. p. Władysław Ludwik Anczyc.

tycznym. I rzeczywiście nie można sobie wyobrazić odpowiedniejszego tła dla takich obchodów, jak gród podwawelski, a także więcej przejętych niemi uczestników, jak mieszkańcy Krakowa i włościaństwo jego bliższych i dalszych okolic.

Ostatnia tego rodzaju uroczystość, poświęcona pamięci zmarłego w 1883 roku Władysława Ludwika Anczyca, świadczy najlepiej, że tak jest w istocie. Dnia 8 b. m. lud polski i Krakowianie oddali piękny hołd pamięci tego znakomitego pisarza i obywatela, jego pracy społecznej i oświatowej, która dotąd wydaje obfite owoce.

Wymienionego dnia odbyło się o godzinie 10 rano uroczyste nabożeństwo w kościele św. Anny, urządzone staraniem komitetu obchodu, na którego czele stanął poeta Lucyan Rydel. Przybyli na nie: posłowie włościańscy do Rady państwa i do Sejmu, Bojko, Wójcik, Ptak i Madej, reprezentant Zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie Władysław Bełza itd. Główną nawę wypełniły cechy z chorągwiami, delegacye włościańskie z wieńcami, oraz tłumy publiczności.

Po nabożeństwie proboszcz miejscowy ks. dr. Caputa, wygłosił podniosłe kazanie, zastosowane do



Ku czci Anczyca: Amatorska trupa włościańska.

Prezydent miasta dr. Leo, grono radców miejskich, prezes T. S. L. dr. Bandrowski, przedstawiciele świata literackiego, dziennikarskiego i artystycznego, uroczystości. Następnie zaś uformował się na ulicy św. Anny pochód, który przez ulicę Wiślną i Zwierzyniecką ruszył ku kościołowi św. Salwatora na



Ku czci Anczyca: Członkowie chóru włościańskiego z Modlnicy.

Zwierzyńcu, gdzie wmurowana została tablica pamiątkowa, ozdobiona bronzowym medalionem Anczyca.

Na czele pochodu szedł pluton straży ogniowej ochotniczej, za nim dwa plutony straży ogniowej miejskiej, dalej uczniowie szkół średnich w ordynku wojskowym ze sztandarami i własnemi orkiestrami. Za młodzieżą postępowały delegacye włościańskie, przed któremi kroczyli skrzypek i basista. Wśród tych delegacyj wyróżniały się grupy włościan z Dołęgi i Zaborowa, w krakuskach ubranych w oryginalne wachlarze z piór pawich, przetykane świecidełkami, oraz chór chłopski z Modlnicy, w niebieskich kaftanach i krakuskach z pawiemi piórkami. Dalej szły delegacye z Toń, Zielonek, Bieńczyc (ze sztandarem) i w. in. Delegacye te niosły wieńce, które później złożono u stóp tablicy, wmurowanej w boczną ścianę kościółka św. Salwatora.

Zamykały pochód: delagacye Koła im. Tadeusza Kościuszki, T. S. L. z ogromnym wieńcem, na którego szarfach umieszczony był napis: „Niezrównanemu znawcy ducha polskiego“, reprezentanci „Sokoła“, korporacyj i cechów krakowskich, oraz oddział straży ogniowej ochotniczej z Bronowic. Pochodem kierował radca miejski Kosobucki, prezes Koła mieszczańskiego.

Po nadejściu pochodu do kościółka św. Salwatora złożono tam wieńce, a na cmentarzu kościelnym, skąd roztacza się wspaniały, a tak przez Anczyca umiłowany widok, pierwszy przemówił do zgromadzonych Lucyan Rydel. Mowę jego, pełną poetyckiego polotu i gorącego patryotyzmu, przyjęli



Ku czci Anczyca: Pochód na Półwsiu Zwierzynieckiem.

zgromadzeni z zapałem. Po nim mówił poseł Bojko, podnosząc zasługi Anczyca jako pisarza-obywatela i miłośnika ludu, na zakończenie zaś odśpiewali zgromadzeni hymn narodowy polski.

Część zebranych udała się następnie na Kopiec Kościuszki, a włościaństwo do Parku krakowskiego, gdzie komitet obchodu podejmował je obiadem.

Wieczorem odbyły się w teatrze miejskim i ludowym uroczyste przedstawienia, na których włościanie stanowili znaczną część widzów.

Taki miała przebieg uroczystość sobotnia, która była dowodem, że lud nasz coraz bardziej staje się uświadomionym i która pozostawiła niezatarte a podniosłe wrażenie w pamięci wszystkich uczestników.



Ku czci Anczyca: Poeta Lucyan Rydel przemawia na cmentarzu kościelnym pod kościółkiem S. Salwatora.

Samobójstwo na grobie ojca.

(Do illustracyi tytułowej).

Tragiczny wypadek zaszedł przed paru dniami we Lwowie. Oto w zacisznem ustroniu cmentarza łyczakowskiego, od strony Pohulanki, usiłowała odebrać sobie życie przez otrucie się młoda kobieta,



Nowa bursa w Krakowie: Grono uczestników uroczystości otwarcia bursy im. Andrzeja hr. Potockiego.



Nowa bursa w Krakowie: Dom, w którym mieści się bursa młodzieży rękodzielniczej i handlowej.

Cecylia K. Zażyła ona mianowicie silnego rozczynu fosforu. Zamach samobójczy wykonała desperatka na grobie swego ojca, zmarłego niedawno i tam pochowanego.

Trucizna działała szybko i młoda kobieta padła bez zmysłów na grób. Zupełnie przypadkowo nadbiegło w tę stronę kilkoro dzieci, które ujrzawszy ku swemu przerażeniu ciało młodej kobiety, zaalarmowały natychmiast zarząd cmentarza.

Wezwano pogotowie ratunkowe, które odwiozło nieszczęśliwą do szpitala, gdzie przywrócono jej przytomność i stwierdzono nazwisko. Mimo usilnych starań lekarzy, nie zdołano młodej kobiety utrzymać przy życiu. Zmarła po długich męczarniach, wydawszy na świat przed samym zgonem zdrowe dziecię. Przyczyn densperackiego kroku, samobójczyni nie podała. Prawdopodobnie zawód miłosny i wstyd skłoniły ją do tego.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, gdy gromadka dzieci znajduje na cmentarzu samobójczynię.



Ku czci Anczyca: Członkowie delegacyj włościańskich pod kościółkiem Ś. Salwatora ze sztandarem delegacyi z Bińczyc.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

20 Ciąg dalszy.

Gdyby pani Mitre otworzyła teraz nagle drzwi, ujrzałaby pod niemi swą wnuczkę, jak boso, w koszuli tylko podsłuchuje.

Chciała dowiedzieć się wszystkiego. Słyszała rozmowę babki ze służącą, doszła do niej i rozmowa z pokoju ojca. Serce jej biło mocno, łzy miała w oczach. List jej matki głośno przeczytany, wzruszył ją, lecz oburzenie ojca przeraziło ją. Nie mogła nie czuć, że on nieszczęśliwy, chory mówi prawdę. Więc jej mamusia jest taką złą kobietą... i biedne serce dziecka ścinęła się bólem. Teraz pojęła niezgodę między rodzicami... Przysłuchiwała się jeszcze, lecz uszu jej dochodził tylko ciężki kaszel ojca, którego kochała *inaczej* niż wszystkich, *inaczej* nawet niż matkę.

Wreszcie, nie słysząc już nic więcej, drżąc z chłodu, wróciła do łóżka i ze łzami w oczach zasnęła.

Rano po rozmówieniu się z Gertrudą, pan Mitre udał się do policyi. Nie mógł się widzieć z samym prefektem, który był bardzo zajęty, przyjął go natomiast pan Magu, prawa ręka prefekta.

Wysłuchał uprzejmie całego opowiadania pana Mitre, współczując jego nieszczęściu i chorobie.

— Będziemy zwracali uwagę na pańską byłą żonę, ponieważ chodzi o groźbę porwania dziecka. Należy to jednak do wydziału szefa tajnej policyi, pana Brunot.

Nie było to imię obce dla pana Mitre. Dawny inspektor policyi zaawansował już przez ten czas na szefa.

— Co się zaś tyczy kochanka pańskiej żony... zaraz.... Pre-Hautre?... Już słyszałem to nazwisko, coś mi ono przypomina.

Zadzwonił. Wszedł służący.

— Zdaje mi się, że ojciec Flochart, chciałem powiedzieć pan Flochart znajduje się tutaj? Proszę go przyprowadzić do mnie.

W pięć minut potem ukazał się postarzały już, przygarbiony ojciec Flochart.

— Ach, Flochart. Dzień dobry stary przyjacielu. Musimy się odwołać do pańskiej pamięci. Pan Flochart — zwrócił się do inserenta — jest to chodząca kronika, zna wszystkie nasze dokumenty. Zaraz się pan o tem przekona. Co ojciec wie o panu de Pre-Hautre.

Po chwili namysłu, stary urzędnik zaczął recytować.

— De Pre-Hautre, Gaston Henryk, hrabia rzymski, siedemdziesiąt lat, kawaler wielu zagranicznych orderów, członek rozmaitych towarzystw akcyjnych, zamieszany w bankructwo jednego przedsiębiorstwa. Wyjechał.

— To nie ten — odezwał się pan Mitre.

— Jest także Prehautre Maurycy, ale bez łącznika przy nazwisku: kasyer, podrabianie czeków, ciężkie roboty.

— Nie — rzekł pan Magu.

— W takim razie margrabia de Pre-Hautre, prawdziwa szlachta, nic wspólnego z poprzednimi, na imię Kajetan...

— Tak, tak! — zawołał pan Mitre.

— Kajetan. Agenor, Mateusz, czterdzieści sześć lat...

— To ten!

— Sprawa karciana w zamkniętym już klubie „As Treflowy". Z obawy przed pociągnięciem przed kratki sądowe wyjechał z Francyi.

— Musiał już powrócić — rzekł pan Mitre.

— Sprawdzimy to i możemy przypomnieć tamtą sprawę. w ten sposób najprędzej uwolnimy pana od niego. Dziękuję drogi panie Flochart.

Urzędnik wyszedł.

— Co zaś do żony, niech pan się zobaczy z panem Brunot. Zaraz zatelefonuję do niego, by zrobił wszystko konieczne.

Służący biurowy poprowadził pana Mitre przez cały szereg korytarzy do gabinetu szefa tajnej policyi. Poznał odrazu pana Mitre. przez dwadzieścia bowiem lat służby wyrobił w sobie niezwykłą pamięć fizyognomii.

— Ach, to bardzo smutne — odezwał się po wysłuchaniu całej sprawy. — Każę śledzić panią Mitre, co będzie jej przeszkadzało w zamierzonem porwaniu. Czy może mi pan dać adres swojej byłej żony?

— Ja nie mam adresu — zawołał pan Mitre zaniepokojony.

— W takim razie będziemy śledzili pańską kucharkę, a gdy przystąpi do niej pani Mitre, ajent odprowadzi ją do domu samego. Nadużywam trochę swej władzy, lecz cieszę się, że panu mogę coś pomódz w zmartwieniu. W przeciągu godziny ajent już będzie na stanowisku.

Pan Mitre podziękował i wrócił do siebie. Po milczącem i smutnem śniadaniu Gertruda przyniosła kopertę, w której były tylko te słowa:

10 avenue de Messine, parter na prawo".

Zapewne adres Ninetki. A więc ona rozmawiała rano z Gertrudą. Pan Mitre zawołał ją do swego pokoju.

— Ta pani zaczepiła cię znowu?

— Tak, proszę pana; gdym wracała z targu czekała na mnie koło piekarza. Bardzo była niezadowolona, że nie przyniosłam odpowiedzi. Lecz powiedziałam, jak mi pan kazał, że panienka nie chciała. Wtedy ona odezwała się...

Gertruda zawahała się:

— Powiedz, przyrzekłaś być szczerą.

— Prosiła, żebym ja tylko wieczorem po w pół do szóstej powiedziała panience, żeby zeszła ze schodów, a już na dole będzie na nią czekała.

— Co ci przyrzekła za to?

— Sto franków, proszę pana — odpowiedziała Gertreda, rumieniąc się, gdyż chociaż oparła się pokusie, suma jednak była wielka.

— Coś jej odpowiedziała?

— Że zrobię, co tylko będę mogła.

— Dobrze Gertrudo, widzę, że jesteś wierna. Masz na początek pięćdziesiąt franków. Nic nie stracisz, postępując uczciwie.

— Ach, proszę pana, ja nie robię tego dla pieniędzy....

— Nic nie szkodzi, weź, to przyniesie szczęście nam wszystkim.

Pan Mitre opowiedział wszystko swej matce, strasznie tem oburzonej. W czasie ich rozmowy naraz rozległ się dzwonek przy drzwiach i Gertruda wprowadziła panią Seymour, która przyszła dowiedzieć się o zdrowie pana Mitre. Przyprowadziła z sobą, jak i poprzednimi razy, swą wychowanicę Janinę Forster, ze wzrostu i postawy bardzo podobną do Maud. Zazwyczaj obie dziewczynki bawiły się razem, dlatego też pani Seymour nigdy nie przychodziła sama.

Pan Mitre opowiedział jej całe grożące niebezpieczeństwo porwania córki, prosząc ją o radę. Pani Seymour zaledwie zdołała pohamować swe oburzenie i z właściwą sobie stanowczością postanowiła zaraz działać.

— Niech mnie pan pozostawi całą sprawę, ja mam już myśl!

I zniżając głos, zaczęła coś opowiadać panu Mitre. Jeżeli się to uda, niegodna matka otrzyma dobrą lekcyę i nigdy już nie będzie chciała porywać dzieci. Wkrótce pani Seymour wyszła, mając do załatwienia wiele interesów.

Przed w pół do szóstej, Gertruda, stosując się do wskazówek pana Mitre, zeszła na dół z koszykiem w ręku, jakby szła po sprawunki. Wkrótce wróciła pospiesznie, szepcąc do swego pana.

— Ta piękna pani czeka na panienkę. Pytała, jak będzie ubrana.

— Odpowiedziałaś, że w czarnym paltociku i z ksamitnym niebieskim kapturku?

— Tak, zupełnie tak, proszę pana.

W pięć minut potem mała dziewczynka w powyższym stroju schodziła szybko po schodach.

W bramie podbiegła do niej młoda zawoalowana dama i schwyciła ją za ręce, szepcąc:

— To ty, Gizelo, chodź, chodź prędzej.

Pochwycona za drugą rękę, przez jakiegoś eleganckiego pana, który cieszył się:

— Doskonale! Prędzej do karety!

Dziewczynka ta z początku nie opierała się. Widząc jednak, że ten pan otwiera drzwiczki do karetki i chce ją do niej wprowadzić, zawołała amerykańskim akcentem:

— Ach! proszę bardzo puścić mnie! Ja pana nie znam!

W chwili tej zbliżał się do nich pospiesznie jakiś wysoki mężczyzna, w bronzowym palcie. czarnym kapeluszu, o wielkich czarnych wąsach. Przestraszyła go się i zaczęła wołać głośno:

— Na pomoc! Porywają mnie!

Rozległ się donośny krzyk: głos kobiecy:

— Boże! to nie Gizela!

I przekleństwo mężczyzny.

— Psiakrew! Co za gapa!

Kilku przechodniów przywołanych krzykiem dziecka ujrzało, jak elegancki mężczyzna pospiesznie uciekał. Lecz nadbiegł w chwili tej jakiś korpulentny mężczyzna w stroju szofera samochodowego i schwycił go za kołnierz.

— Poczekaj kotku, nie ruszaj się, bo ci zdejmę głowę z karku!

Jednocześnie jakaś siwa dama o energicznej minie przytrzymywała młodą kobietę:

— Ach! to pani kradnie dzieci! Policyant! Proszę zawołać policyanta — zwróciła się do otaczającego ich tłumu.

— Przepraszam. proszę mnie puścić, to tylko pomyłka — usprawiedliwiała się przestraszona Germaine.

— Pomyłka! Co za śmiałość! — zaprzeczyła dziewczynka energicznie — ona rzuciła się na mnie i chciała mnie wciągnąć do karety.

— Widziałam to. Joanno — odpowiedziała pani Seymour — niech teraz tłomaczy się w policyi.

— A i ten pistolet nabity strachem też niech się tłomaczy — dodał szofer, trzymając pana de Pre-Hautre, trzęsącego się ze strachu. A ten wielki z czarnymi wąsami także należy do ich bandy — rzekł wskazując jegomościa w bronzowym palcie.

— Ten — rzekła Joanna — zbliżył się zaraz do karety.

Uśmiechnął on się jednak dobrodusznie i uchylając kapelusza, rzekł po cichu do pani Seymour:

— Ajent policyi. Muszę wszystkich poprosić ze sobą.

Szofer spoglądając na niego, zawołał głośno:

— Ja go poznaję, choć nie ma galonów! Jak się pan ma, panie Trachet. To pan obecnie już po cywilnemu?

— Doddy, cicho! — rozkazała pani Seymuor.

Szofer jednak zdjął swą czapkę i tak przeraził ajenta, iż ten aż zatoczył się, poznał mimo obciętych włosów swoją energiczną połowicę, już z nim rozwiedzioną, dawną małżonkę, a teraz Irmę Bouchemol.

Ta znowu otwierała usta, by dokuczyć swemu eksmężowi, lecz pani Seymour zawołała:

— *Shut up! That's enough, Doddy!...*

— Panie — zwróciła się do ajenta — czy możemy udać się na policyę mym samochodem?

Trachet zgodził się. Siadł razem z panią Mitre zapłakaną, za niemi zaś zajęły miejsca pani Seymour i Janina. Pan de Pre-Hautre zdołał umknąć. Samochód ruszył.

— Proszę mnie puścić, błagam panią — płakała Germaine. — Przysięgam. że to tylko pomyłka.

Amerykanka odpowiedziała jednak surowo:

— Będzie się pani tłomaczyła w komisaryacie.

X.

ŚCIANY MÓWIĄ.

Pan Morailles oczekiwał niecierpliwie dzwonka wzywającego na śniadanie. Oznajmił poprzednio, że został wezwany telefonem do Paryża i nie może paniom dotrzymać towarzystwa.

Ostentacyjnie wyjechał powozikiem angielskim, lecz zamiast na dworzec, skierował się do Fougeraie. Tam wysiadł i kazał stangretowi wrócić do zamku, sam zaś, zamiast odwiedzić Maud, poszedł z powrotem dopiero co przebytą drogą. Doszedł do małych drzwiczek w ogrodzeniu parku, otworzył je kluczem, który sam tylko posiadał i przez małą, krętą ścieżkę dostał się do ciemnego, tajemniczego przejścia. Był to korytarz ukryty w grubości muru, który prowadził przez schody wysłane dywanem do pokoiku, znajdującego się obok garderoby markiza. Przedtem jednak skręcał on w bok i ciągnął się aż do apartamentu markizy, kończąc się przed jej gabinetem. Ściana w tym pokoju wyłożona była boazeryą z wielkiem lustrem w pośrodku.

Markiz zagłębił się w ten korytarz. Dzwoniono już po raz drugi na śniadanie. Mógł być spokojny. nikt nie podejrzewał jego obecności w zamku. Znalazł się za apartamentem swej żony: nacisnął żelazny drążek i w tej chwili mur otworzył się jakby zwykłe drzwi, jednocześnie wsunęła się w środek bocznego pokoju boazerya. Mały otwór w rogu pozwalał widzieć, co się dzieje w pokoju. Na gzymsie znajdował się mały udoskonalony fonograf. Pan Morailles wziął go. nacisnął sprężynę. zasuwającą boazcryę, następnie zatrzasnął mur, który zamknął się szczelnie, tak iż nie znać było najmniejszej nawet szczeliny i wrócił do siebie.

Zaczęły się dla niego chwile męki, a następnie rozkoszy w planowaniu najokrutniejszej zemsty.

Fonograf ze wszelkiemi intonacyami głosu, z westchnieniami, przerwami powtórzył mu rozmowę, jaką prowadziły ze sobą w nocy Aurora i Joanna. Niewidoczny ich świadek zdradził je bezlitośnie.

Pan Morailles, słysząc teraz ich głosy, pienił się ze wściekłości na myśl, jak został zdradzony, oszukany, wywiedziony w pole. Zemsty! Zemścić się nad nią, nad tą niewierną cudzołożnicą, nad jej

wspólnikami, zniszczyć ich, patrzeć jak będą powoli konali.

Fonograf mówił ciągle, zdradzał ich obawę przed nim i ich wstręt do niego. Mówił o przebytych smutkach żony, ale i o radości z oglądania znowu tajemniczego swego syna.

Do krwi zaciskał zęby, gryzł sobie wargi, by nie pobiedz do nich i nie rozpocząć odrazu dzieła zemsty. Gdy usłyszał głos Aurory: „mój kochany Jacek, moje drogie dziecko“, uczuł jak serce mu zaczęło bić, a zimny pot wystąpił na czoło.

Zniszczyć ich, zasiać w nich ból, zrujnować, niech patrzą na lecące w gruzy własne szczęście! A żonę torturować wszystkiemi mękami duszy i serca, by widziała, jak ginie w jej oczach to, co kochała!

Tak karmił się myślami zemsty, nie pomnąc na własne swe winy. Blady, z powiekami ociężałemi, dopiero o piątej znalazł się u swej kochanki w Fougeraie.

. . . .

Doktór Morane po obejrzeniu chorego, który czuł się lepiej, został się w zamku na śniadanie. Przedstawiał on typ szlachetnego człowieka, któremu życie spływało na czynieniu dobra bliźnim i chociaż już ze starości przygarbiony i siwy cały, zachował jeszcze młode serce, pełne miłości. Znany na dwadzieścia mil wokoło, posiadając wielką praktykę, nie zebrał majątku mimo oszczędnego życia. Dzisiaj, czując się już zmęczonym, czekał tylko na zastąpienie go przez siostrzeńca, doktora z Paryża, któremu chciał zostawić w spadku swych chorych klientów i sławę uczciwego człowieka.

— Pani przyrzekła mi raz — zwrócił się do Aurory — zwiedzić mą kolekcyą chryzantem. Pani Le Chars zapewne nie wie jeszcze, że zostałem nagrodzony za nie na ostatniej wystawie kwiatowej.

— Pan Morane — odezwała się Aurora — nie wspomina ci nic o swych wspaniałych gruszkach i jabłkach, a owoce te nie ustępują wcale kwiatom. Dobrze, jeżeli doktór pozwoli, dzisiaj mu jeszcze złożymy wizytę.

— Biorę panią za słowo — odpowiedział. Może pani znajdzie u mnie i pewną niespodziankę — dodał z uśmiechem.

— Kładźmy więc kapelusze i chodźmy. A dzieci?

— Ugościłbym je winogronami, lepiej jednak nie bierzmy ich z sobą; niespodzianka moja musi się odbyć bez świadków.

— Ależ pan nas intryguje — rzekła Aurora. Czy możemy Joanno, zostawić Jacka w pobliżu męża?

— Tak, zresztą Ludwika będzie go pilnowała.

— Co może mu się stać? — zapytał doktór. To bardzo miły i posłuszny chłopczyk. Będzie się bawił bardzo dobrze z Andrzejem.

Pani Le Chars nie zaoponowała, uprzedziła jednak Ludwikę, by nad nim czuwała.

Obie panie z doktorem zeszły do parku i skierowały się przez boczną ścieżkę do mieszkania pana Morane, położonego w miasteczku, gdy naraz pani Morailles krzykła przestraszona.

Z za drzew ukazał się nagle jakiś mężczyzna o dużej potarganej brodzie, w wielkim połamanym kapeluszu i w zniszczonem, poobrywanem ubraniu. Przed sobą niósł laskę do której wisiały przyczepione trzy równej długości żmije.

— Niech pani się nie obawia — odezwał się doktór — jest to Bouqueau, zwany ojcem Castagnette, poskramiacz żmij. Te są już zabite, niesie je do merostwa, gdzie za każdą dostaje osiem susów. Jakże tam, ojcze Castagnette, dobre polowanie?

— Jako tako, jak pan doktór widzi.

— Jest on nadzwyczaj zręczny — mówił dalej pan Morane. A czy ojciec Castagnette pamięta, że obiecał mi przynieść czerwonych żmij żyjących; za każdą dam po franku i na zadatek wsunął mu do ręki jednego franka.

— Dobrze, dziękuję, ja już pamiętam i w tych dniach przyniosę. Moje uszanowanie doktorowi i obu damom.

— Jakto — zapytała markiza, drżąc jeszcze — pan zbiera takie gady?

— To nie dla siebie, to dla siostrzeńca, który pisze rozprawę o krążeniu krwi u płazów.

— Ach, co za straszne stworzenia, wstręt do nich czuję, trzęsę się cała na samą myśl, że można w lesie natrafić na nie.

Doktór widząc, że pani Morailles jeszcze się nie uspokoiła po tem spotkaniu, zmienił rozmowę. Wkrótce znaleźli się przed małym wesołym domkiem, stojącym wśród dość wielkiego ogrodu. Dokoła rosły przepiękne kwiaty, najrozmaitszych odcieni chryzantemy.

— Ach, jakie piękne, jakie wspaniałe! — zachwycały się obie przyjaciółki, nie zważając, że ktoś przypatruje im się bacznie.

Doktór Morane zawołał głośno:

— Bernard! proszę zaraz wrócić się do kuchni i grzać się przy piecu, to najlepsze lekarstwo na reumatyzm.

— Mnie tu dobrze, panie doktorze — odezwał się jakiś człowiek, podobny do włóczęgi.



Fonograf z wszelkiemi intonacyami głosu, powtórzył mu rozmowę...

Doktór jednak powtórzył swój rozkaz, któremu tamten poddał się choć niechętnie. Twarz jego nie goloną od kilku dni, o bystrych oczach spostrzegła Joanna. Zdawało jej się, że już kiedyś człowieka tego widziała.

— Kto to jest? — zapytała.

— Jakiś biedak, który utrzymuje, iż już trzy dni nie jadł i nie może iść dalej. Przyszedł dzisiaj rano. Jeżeli mu pomogą masaże elektryczne, dam mu ich kilka, dopóki nie poprawi się.

— A także obdzieli go pan prowizyą i pieniądzmi? — dodała z uśmiechem Aurora.

— Co robić?... Trzeba pomódz bliźnim. Ale teraz po chryzantemach nadchodzi czas na niespodziankę. Proszę trochę jeszcze cierpliwości i przyrzec mi zarazem, że panie będą rozmawiały po cichu z osobą, jaka się tutaj znajduje w tajemnicy.

Obie przyjaciółki spojrzały na siebie wzruszone. Kto to może być? Doktór jednak prowadził już je na pierwsze piętro do swego gabinetu, następnie otworzył drzwi do małego pokoiku, na progu którego stanęła przed nimi drobna postać kobieca.

— Wiera, to ty? Droga Wiera!

Doktór zamknął za niemi drzwi i schodził na dół, gdy naraz spotkał się ze swym siostrzeńcem Piotrem Mahes, młodym, szczupłym, energicznym mężczyzną. Ten położył palec na ustach na znak zachowania ciszy i pociągnął doktora do swego pokoju.

— O co chodzi?

— O tego Bernarda. Nie jest tym, za kogo się podaje.

— Jakto?

— To nie jest włóczęga.

— Skąd wiesz?

— Sam się zdradził: wyglądem, zachowaniem się, mową. Stara Emilia — była to od lat trzydziestu kucharka doktora — to zauważyła.

— Któż to więc jest?

— Przytem on wcale nie jest chory.

— Co znowu!

— Kuleje tylko wtedy, gdy na niego się patrzy. Zauważyłem w stajni, jak się przeciągał i prostował nogi.

— Och! Och!

— A przytem szpieguje.

— To i mnie się zdawało.

— I ma racyę.

— Nie rozumiem ciebie.

— Spełnia swój urząd.

— W jaki sposób?

— Jest to przebrany ajent.

— Niemożliwe?

— Oto jego papiery, jakie znalazłem w zawiniątku razem z rzeczami.

— Jakie rzeczy!?

— Najzwyczajniejsze ubranie, jakie my nosimy.

— O, do dyabła!

Doktór przeczytał kartę ajenta tajnego:

— Bop! Aha! on się nazywa Bop, to dziwne.

— Zauważyłem jak przyglądał się oknom pokoju w którym...

— Ciszej. Niema już wątpliwości. Śledzi Wierę. Czy tylko wie, że ona tutaj jest? Ale nam tego nie powie.

— I nie będziemy się go pytali. Niema jednak czasu do stracenia, trzeba się go pozbyć.

— Jak?

— Zaraz zobaczymy... Niech wój idzie do gabinetu i przygotuje maszynę elektryczną.

— Po co?

— Proszę mnie już to pozostawić.

Zaledwie doktór przygotował wszystko w gabinecie, gdy ukazał się prowadzony przez Piotra Bernard, kulejąc na nogę.

— Mój drogi — odezwał się Piotr — ponieważ nie możesz chodzić, postaramy się wyleczyć cię. Siadaj na tym szklanym taburecie, a przedtem zdejmij ubranie. Poddamy twe biodra prądowi elektrycznemu.

Niebieskie iskierki dobywające się z przyrządu elektrycznego przestraszyły mniemanego włóczęgę, który słyszał tylko, iż w ten sposób karzą śmiercią w Ameryce.

— Jabym wolał, aby obyło się bez tego...

— Może wolisz gorące nakłócia, to nic, ja tylko tem cię dotknę.

Doktór rozgrzewał nad lampką spirytusową cienki drucik metalowy, który stał się naprzód czerwony, a potem biały.

— Nie, nie, bez tego wszystkiego!...

— Kiedy jesteś taki delikatny, to w takim razie przyjmiesz dozę preparatu salicylatu, to jest zupełnie bez smaku.

— Już lepiej to... — rzekł Bernard, uważając, iż musi już znieść tę ofiarę.

— A ponieważ jadę do Melun, wezmę cię z sobą; w tamtą stronę właśnie chciałeś iść.

— Czy nie mógłbym tutaj spędzić nocy?

— Nie, tam będziesz bliżej szpitala, gdzie cię wyleczą.

Bop połknął w oczach ich pigułkę, która taki w nim wywarła skutek, iż zaledwie siadł do wózka, zaraz powieki zamknęły mu się i zasnął głębokim snem.

Piotr wywiózł go do lasu, wyciągnął z bryczki i posadził pod pniem w największem gąszczu. Spał bez czucia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogrzeb młodotureckich bohaterów.

Zajęcie Konstantynopola przez armię młodoturecką połączone było z obfitym rozlewem krwi. Wojska wierne sułtanowi zamknęły się w koszarach, broniąc się zacięcie, musiano rozpocząć regularne oblężenie i ostrzeliwanie budynków. Jak naoczny świadek opowiada, główna bitwa wrzała na Peru. Ulice przepełnione ciżbą żołnierzy macedońskich o dziko rozwianych brodach, w jaskrawych, różnobarwnych turbanach, okręconych około fezów. W chwili ataku groźni, po skończonym zmieniali się nie do poznania, udzielając przechodniom jak najuprzejmiej odpowiedzi na nader liczne pytania. Plac Taxim okazuje liczne ślady zażartej walki; na chodnikach i gościńcu kałuże krwi, na domach ślady kul. Naprzeciw szpitala francuskiego, na przecięciu dwu przeciwnych linii strzałów, domy podziurawione literalnie jak sita. To robota kartaczownic.

Nic też dziwnego, że walka pociągnęła za sobą liczne ofiary w ludziach. I broniący się i atakujący gęstym trupem zasłali ulice i place: prócz pospolitego żołdactwa legło na miejscu walki i kilku wybitniejszych przywódców obu stron. Między innymi poległ także pułkownik korpusu salonickiego, Monlitar-bey, jeden z najdzielniejszych oficerów tureckich i propagatorów ruchu wolnościowego. Padł on wraz z dwu innymi oficerami w walce ulicznej, jaka się w dniu 24 kwietnia rozegrała na ulicach Konstantynopola, a bohaterska jego śmierć okryła głęboką żałobą szeregi Młodoturków. Pogrzeb bohaterów, który się odbył w dniu 29 kwietnia w Konstantynopolu, zmienił się w prawdziwą manifestacyę patryotyczną: prócz tłumów wojska i ludności cywilnej wszystkich wyznań i narodowości, wzięły w nim udział i najwybitniejsze osobistości z obozu młodotureckiego z prezydentem parlamentu Achmedem Rizą na czele.

Illustracya nasza, sporządzona według fotografii nadesłanej nam z Konstantynopola, przedstawia pochód pogrzebowy, przeciągający ulicami Konstantynopola ku cmentarzowi, na którym mają spocząć śmiertelne szczątki bohaterskich bojowników wolności.



Pogrzeb młodotureckich bohaterów: Achmed Riza (X), i grono wybitnych Młodoturków w orszaku pogrzebowym.

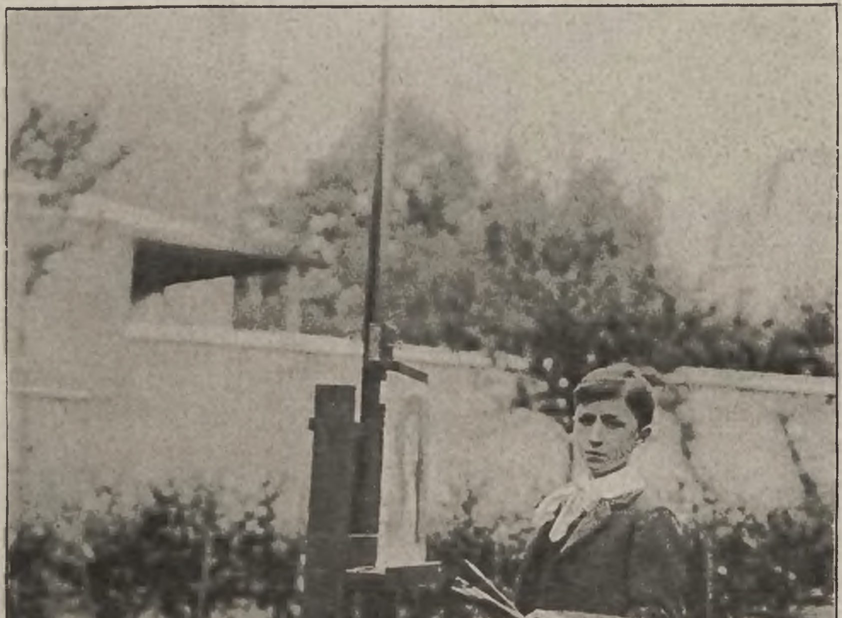
Jeszcze jedno cudowne dziecko.

Reklama, nie licząca się często z prawdopodobieństwem, oraz pogoń za wszelkiego rodzaju sensacyą, sprawiły to, że przyjmujemy ze słusznem niedowierzaniem doniesienia dzienników o t. zw. „cudownych dzieciach“, szczególniej muzykach, których tyle się namnożyło ostatnimi czasy. Najczęściej przytem okazuje się, że takie w niesłychany sposób reklamowane „cudowne dziecko“ posiada zaledwie jakiś mały talencik, który w prawdziwy talent z biegiem czasu wcale się nie rozwija. Rzecz prosta, że powodem tego w przeważnej ilości wypadków bywa nienaturalne forsowanie sił dziecka, które zamiast rozwijać się normalnie, a przedewszystkiem uczyć, występuje z publicznemi produkcyami, napełniającemi groszem kieszenie niesumiennych impresaryów.

O ile często dochodzą nas słuchy o „cudownych dzieciach“ muzykach, o tyle rzadziej spotykamy się z takimiż dziećmi w zakresie malarstwa, które wymaga znacznie więcej pozytywnych, zdobytych doświadczeniem wiadomości, niż muzyka. Obecnie jednak, zdaje się, że we Francyi naprawdę pojawiło się „cudowne dziecko“ — trzynastoletni artysta-malarz, Maurycy Lavallard, którego portret podajemy w niniejszym numerze.

Najmłodszy ten z pomiędzy francuskich artystów-malarzy, wystawił swój obrazek w „Salonie“ paryskim, otwartym 1 b. m. w Paryżu, gdzie komisya rozpoznawcza przyjęła go jednogłośnie, co już jest odznaczeniem niełada wobec zwykle surowego sądu tej komisyi.

Obrazek Lavallarda, malowany, wedle zgodnych doniesień dzienników paryskich, wyśmienicie, przed-



Jeszcze jedno cudowne dziecko: Maurycy Lavallard.



Ocalone arcydzieło budownictwa: Odbudowa dzwonnicy kościoła św. Marka w Wenecyi w obecnem stadyum.

stawia chłopczyka grającego przy świetle sztucznem na pianinie i zdaje się w nim zapowiadać na przyszłość znakomitego malarza.



Ocalone arcydzieło budownictwa: Widok na plac św. Marka w Wenecyi.

Ocalone arcydzieło budownictwa.

Wśród mnóstwa wspaniałych zabytków architektury, z jakich słusznie dumną jest „królowa Adryatyku“ — Wenecya, jedno z niepoślednich miejsc zajmuje dzwonnica patryarszego kościoła św. Marka, zwana krótko *campanile*. Jak wiadomo, to arcydzieło budownictwa, którego autorem był Sansorino, znakomity rzeźbiarz i architekt w XVI stuleciu, zawaliło się prawdopodobnie skutkiem osunięcia się fundamentów. Od pewnego czasu zwracano wprawdzie uwagę odnośnych władz, że dzwonnica się rysuje, ale, jak to bywa w podobnych razach nietylko w Wenecyi, władze te lekceważyły sobie ostrzeżenia, rachując na to, że skoro dzwonnica, której budowę ukończono w 1540 roku, dotąd stoi cało, to i nadal stać będzie. Cudownem zaiste zrządzeniem losu podczas zawalenia się dzwonnicy, stojącej na zwykle tak ruchliwym placu przed kościołem św. Marka, nikt nie zginął, ani nie został ranny.

Włochy całe głęboko odczuły stratę, jaka ich dotknęła. Gdzieindziej prawdopodobnie zaniechanoby myśli ponownego wystawienia takiego kolosu, *campanile* bowiem mierzyła 98 metrów wysokości, a więc cośkolwiek więcej, niż wieża Maryacka w Krakowie, z powodu trudności technicznych i kosztów. Nie dali się jednak od tego przedsięwzięcia odstraszyć Włosi, u których pietyzm wobec zabytków sztuki łączy się ściśle z patryotyzmem.

Posypały się więc składki, zabrano się energicznie do dzieła i dziś powstała już w $^2/_3$ częściach z gruzów słynna *campanile*, niby feniks z popiołów. Za dwa lata zaś, mniejwięcej, zostanie ukończoną całość.

Nadmienić przytem wypada, że nowowzniesiona dzwonnica jest jaknajwierniejszą kopią dawnej. Zużytkowano bowiem przy odbudowie wszystkie dawne części, które dały się naprawić, nowe zaś części odkute są na wzór dawnych.

Ryciny nasze przedstawiają ogólny widok na słynny w całym świecie plac św. Marka, będący sercem Wenecyi z *campanilą* przed katastrofą, na fronton kościoła św. Marka, oraz na budowę nowej *campanili* w stadyum obecnem.

Z życia ulicznego w Kairze.

Życie w miastach Wschodu koncentruje się głównie na ulicy, przed kawiarniami, sklepami i bazarami. Nic w tem dziwnego, gorący klimat wypędza mieszkańców na wolne powietrze, do dusznych mieszkań udają się tylko na spoczynek. Wpływ temperatury odbija się bardzo niekorzystnie i na usposobieniu tamtejszej ludności, jest ona gnuśną i ociężałą. Przyczynia się do tego i ich wiara w przeznaczenie. Każdy mieszkaniec Wschodu jest fatalistą, wierzącym silnie, iż losu, jaki mu zgotowało przeznaczenie, nie odwróci, choćby, jak to mówią,



Ocalone arcydzieło budownictwa: Fronton kościoła św. Marka w Wenecyi.

postawił się na głowie. Nie troszczy się więc muzułmanin o bieg wypadków, tłómacząc sobie, iż nie minie go, co mu jest przeznaczone. Natomiast z wielką ochotą oddaje się różnym spokojnym rozrywkom, któreby mu dozwoliły przez dłuższy czas nie ruszać się z miejsca, a zabić jakoś czas, którego z wrodzonego lenistwa na pracę jakąś wytężającą obrócić mu się nie chce. Do takich rozrywek należy gra w szachy, kości, karty i tym podobne.

W ulicach różnych miast wschodnich widzieć też można mieszkańców, wysiadujących całemi godzinami przed bramami domów i oddających się ulubionej grze. Nie przeszkadza im ruch uliczny, nie robią sobie nic z hałasu i kurzu, jeden chyba deszcz jest w stanie ostudzić ich zapał i spędzić grających z chodnika. Udają się wtedy pod dach i kontynuują grę, aby na dawne miejsce powrócić, skoro tylko nastanie pogoda.

Scenę z takiego ulicznego życia w Kairze przedstawia nasza illustracya. Trzech obywateli tamtejszych tak się zajęło grą przed sklepem na chodniku, iż nawet nie uważają, że jakiś zbłąkany wielbłąd, poszukując swego pana, stanął opodal i przygląda się im ciekawie. Taki „kibic“ jest o tyle przyjemniejszy od naszych zawodowych kawiarnianych „kibiców“, iż grze uwagami nie przeszkadza i prędzej się nuży i odchodzi, niż jego dwunożni koledzy.



Z życia ulicznego w Kairze: Mieszkańcy Kairu zajęci grą przed sklepem.



Powódź w Przemyślu: Pionierzy na łódce, służącej do komunikacyi podczas powodzi.

Powódź w Przemyślu.

Wiosna tegoroczna zapisze się w pamięci ludności naszego kraju smutnemi głoskami. Nietylko opóźniło się bardzo jej przybycie, nietylko zimno i śniegi, nawet w maju, uniemożliwiły rolnikom zabranie się do prac na roli, ale nadto długotrwała ulewa spowodowała w wielu stronach Galicyi wezbranie rzek i powodzie.

Bardzo dotkliwie odczuła tę klęskę ludność Przemyśla i jego okolicy, gdzie rzeka San wezbrała gwałtownie, a wystąpiwszy z brzegów w kilku miejscach, poczyniła olbrzymie szkody i spustoszenia.

Jak donosi nasz korespondent przemyski, najwyższy stan wody był w nocy z 6 na 7 maja. Ale już przedtem cały szereg wsi uległ zalewowi, a mieszkańcy ich mogli utrzymywać komunikacyę tylko za pośrednictwem łodzi. Wylew dosięgnął także Przemyśla, zwłaszcza jego przedmieść, które w ciągu niewielu godzin zamieniły się w istne jeziora.

A już wprost straszny i tragiczny był los ludności tamtejszej w ową krytyczną noc na 7 maja. Woda bowiem zalała nietylko pola, łąki i ogrody, ale wdarła się do mieszkań, bliżej Sanu położonych, niszcząc najzupełniej urządzenia ich i zmuszając ubogą ludność do schronienia się na strychy domów.

Łatwo pojąć i łatwo sobie przedstawić rozpacz bezgraniczną nieszczęsnych ofiar powodzi. Odcięci prawie zupełnie od świata, skazani na duszenie się w małych i ciasnych stryszkach, musieli patrzeć bezsilni i bezradni na klęskę, która ich nawiedziła, musieli z rezygnacyą oglądać dzieło zniszczenia i czekać zlitowania się Opatrzności.

Dopiero koło południa następnego dnia woda opadła o tyle, że można było powrócić do mieszkań parterowych. Ale też wówczas jeszcze fatalniej przedstawił się oczom biednych ofiar powodzi obraz klęski i zniszczenia. Dopiero też wówczas mogli biedacy ocenić, jak straszne szkody powódź wyrządziła w ciągu krótkiego stosunkowo czasu.

Ostatnie wylewy wywołają zapewne znowu dyskusyę w prasie i w parlamencie wiedeńskim na temat potrzeby jak najszybszej regulacyi rzek galicyjskich i uchronienia ludności przed ciągłem niebezpieczeństwem powodzi. Wnet jednak potem odnośne czynniki zapomną o klęsce i środkach zapobiegawczych a sprawa cała odwlecze się znów aż do następnej powodzi. Bo rząd... sprzyja krajowi.

Zamieszczamy dziś kilka zdjęć fotograficznych z Przemyśla, illustrujących ostatnią powódź, która miasto i okolicę nawiedziła.

Dla postrachu.

Młodoturcy po zwycięstwie, jakie odnieśli nad reakcyą, nie okazują wcale umiarkowania przy wymierzaniu sprawiedliwości pokonanym przeciwnikom. Sąd wojenny w Konstantynopolu wydaje jeden po



Powódź w Przemyślu: Przedmieście Przemyśla „Wilcza“, zalane w zupełności falami Sanu.

drugim wyroki śmierci, nie bacząc ani na wiek ani na stanowisko podsądnych. Na szubienicy zawisł już niejeden sędziwy ullmo obok prostego robotnika, niejeden basza obok szeregowca. Postępowanie sądowe jest bardzo sumaryczne, a wyroki wykonywane są natychmiast.

Wykonywanie tych wyrokow śmierci odbywa się dla postrachu cichych zwolenników starego systemu rządów na placach publicznych, ciała zaś skazańców, ubrane w płócienne śmiertelne koszule, pozostają przez cały dzień zawieszone na szubienicach.

Jestto okrucieństwo tem więcej dotkliwe, ponieważ muzułmanie śmierć przez publiczne powieszenie uważają ze względów religijnych za hańbiącą w najwyższym stopniu i ponieważ, wedle zwyczajów islamu, człowiek powieszony powinien zostać natychmiast pochowany.

Takie masowe a publiczne egzekucye są zresztą i z wielu innych względów wysoce niewłaściwe i rzucają bardzo ujemne światło na wartość etyczną Młodoturków oraz nowego sułtana, za którego wiedzą i wolą egzekucye te się odbywają.

Dotychczas ogólne panowało w świecie zdanie, że Młodoturcy stanowią odrębne niejako społeczeństwo w narodzie tureckim, społeczeństwo nawskróś europejskie, wysoko kulturalne. Tymczasem ostatnie wypadki wskazują, że opinia ta była zbyt pochlebna, że w ich umysłach i sercach sporo jeszcze dzikości i okrucieństwa, właściwego ludom niekulturalnym.

Tego rodzaju polityka zemsty może się zresztą odbić bardzo szkodliwie na Młodoturkach, może odebrać im serca nawet gorących dotąd zwolenników. I tak dochodzą od dłuższego już czasu wieści z Małej Azyi o niechęci tamtejszej ludności wobec nowego rządu. Silne tam dotąd jeszcze wpływy starego sułtana, mogą w związku z reakcyą w Konstantynopolu, spowodować upadek Młodoturków.

Rycina nasza przedstawia jednę z szubienic, których kilka wystawiono na rozmaitych punktach w Konstantynopolu, ze zwłokami skazańców. Przechodnie mijają je obojętnie, bo fatalizm, stanowiący podstawę światopoglądu każdego Turka, każe im zapatrywać się na śmierć, jako na coś, co z góry każdemu jest przeznaczone. *Kismet* t. j. wiara w nieubłagane przeznaczenie, ułatwia mu, bądź jak bądź, pobyt na tym padole płaczu i przeniesienie się do lepszego świata.



Powódź w Przemyślu: Jedna z ulic Przemyśla, położona bliżej Sanu.

Nowe pożary w Borysławiu.

Wśród niespodzianek, jakie zgotowała nam tegoroczna wiosna, jedno z pierwszych miejsc zajmą silne burze, połączone z grzmotami i piorunami, burze ogromnie silne, choć krótkotrwałe. Jedna z nich nawiedziła Lwów, gdzie piorun wyrządził szereg znacznych szkód, niszcząc mnóstwo przewodów i aparatów telefonicznych.

Daleko szersze i groźniejsze rozmiary przybrała ta katastrofa żywiołowa w Tustanowicach pod Borysławiem na terenie kopalń nafty. Tam bowiem burza trwała znacznie dłużej, niż w innych stronach kraju, nadto od uderzenia piorunów zajęło się kilka szybów. Wypadki tego rodzaju są w Borysławiu i wogóle w kopalniach nafty bardzo częste, a i pamiętny tamtegoroczny pożar szybu „Oil City“, spowodowany został uderzeniem pioruna. To też już w chwili, gdy nad Borysławiem rozszalała się burza, gdy zaczęło się błyskać i gdy grzmoty zahuczały, ludność miejscowa przeczuła, że przyjdzie do katastrofy.

Istotnie wnet potem zaalarmowano Borysław ponurą wiadomością, iż od pierwszych piorunów zajął się szyb „Premier“. Rzucono się niezwłocznie na ratunek, chodziło bowiem przedewszystkiem o to, by nie dopuścić do przerzucenia się ognia na szyby sąsiednie. I rzeczywiście tą drogą nie przeniósł się ogień dalej, ale wskutek dalszych piorunów zajęło się ośm jeszcze szybów, między tymi dwa bardzo silnie produktywne: „Nafta“ i „Dembowski“.

Wspaniały widok, imponujący siłą i grozą szalejącego żywiołu, przedstawiały płonące szyby. Kłęby czarnego dymu wznosiły się wysoko w górę, a poniżej kłębiły się czerwone płomienie, z których buchały co chwila całe snopy iskier. Silna wichura powiększała grozę obrazu i utrudniała niesłychanie akcyę ratunkową.

A akcya to bardzo ciężka, żmudna i kosztowna. Setki robotników pod komendą urzędników i inżynierów zajętych było przy gaszeniu ognia. Wysiłki ich jednak w przeważnej części były bezskuteczne i bezcelowe. Nie zapobiegły olbrzymim szkodom i stratom, jakie pożoga wyrządziła.

Może wreszcie nowa serya pożarów w szybach naftowych spowoduje fachowców i techników do podjęcia jakichś nowych usiłowań w celu zapobieżenia na przyszłość tego rodzaju klęskom, które przecież nietylko pożerają olbrzymie sumy pieniędzy, ale grożą poważnem niebezpieczeństwem ludności miejscowej.



Nowe pożary w Borysławiu: Płonący skutkiem uderzenia pioruna szyb „Nafta“ w Tustanowicach, w głębi na lewo szyb „Dembowski“.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

7 Romans psychiczny. Ciąg dalszy.

— Doktór Heurtault? — zapytał jakiś głos żeński.
— Tak, ja.
— Jestem baronowa Franchard. Mam ważną rzecz do zakomunikowania panu.
— Słucham.
— Przed chwilą otrzymaliśmy depeszę z Grenady: „Z powodu ważnych przyczyn musimy powrócić. List wysłany“.
— To wszystko?
— Tak.
— Bardzo dziwne! A dzisiaj rano znaleziono pana Leyre w łóżku ciężko ranionego.
— Czy być może?
— Tak, tak...
— Czy stan jego jest groźny?
— Rana ciężka, lecz nie śmiertelna. Okoliczności, w jakich wypadek ten zaszedł są niezrozumiałe. Proszę poprosić proboszcza, by przybył do mnie.
— Dobrze, do widzenia.
— Moje uszanowanie.

Cóż to za nowa komplikacya? Zadziwiłem się. Co tam znowu mogło się stać? Zapewne nieporozumienie między małżonkami. Ani wypadek, ani choroba nie stanowią tego ważnego powodu ich powrotu, nie mogliby jechać, jeżeli jedno z nich byłoby chore lub ranne! Ranne? Myśl ta przypomniała mi pana Leyre. Mimowoli łączyłem jego ranę z powodami ich powrotu, nie mogłem jednak znaleść między tymi dwoma faktami żadnego rozumowego związku. Zmęczony daremnem rozwikływaniem tej tajemnicy, wyszedłem, by zobaczyć rannego.

Obudził się już, lecz pozostawał w ciągłem odrętwieniu; obojętny był na wszystko, co się dokoła niego działo, zdawał się ani nic nie widzieć, ani słyszeć. Stan ten niepokoił panią Leyre, która upatrywała już w swym synu objawy pomieszania umysłu. Musiałem ją uspokajać i zarazem rozpytałem o okoliczności, poprzedzające ten straszny wypadek. Dowiedziałem się, iż spędził on cały dzień w laboratoryum, położył się zaś spać wcześnie, tak jak to czynił od ośmiu dni. To wczesne kładzenie się rozpoczęło się ze ślubem panny Franchard; szczegół ten zachowałem dla siebie, gdyż pani Leyre nie znała sennych wycieczek swego syna. Dziwiła się tylko zmianie, jaka zaszła w nim; przedtem przez jakiś czas po całych nocach pracował; jakby miał wstręt do snu, a od połowy marca udawał się na spoczynek zaraz prawie po obiedzie.

Powróciłem jeszcze wieczorem; z trudem tylko zdołałem nakłonić panią Leyre, by odpoczęła, przyrzekając, że sam będę czuwał przy synu. Zostałem więc w pokoju rannego i mimowoli zacząłem przeglądać zeszyty, leżące na jego stole.

Bywają chwile, że człowiek najdyskretniejszy traci poczucie obowiązku; zdarzyło się to i ze mną. Wzruszenia całego dnia, cisza pokoju słabo oświetlonego małą lampą, ciężka woń eteru jakby mnie otumaniły. Przerzucałem bezwiednie te zeszyty, pełne formuł chemicznych i równań matematycznych, gdy nagle natrafiłem na notes, w którym dostrzegłem opis snów.

Pierwsze kartki zawierały szczegóły już mi znane. W miarę jak pogrążałem się w czytaniu, notatki stawały się obfitsze, pismo zwięźlejsze. Po przerwie kilkutygodniowej to sprawozdanie ze snów zaczynało się datą piętnastego marca. Chciwie czytałem wiersze, napisane w dniu mej wizyty w Balizac.

...Odzyskałem przytomność w pokoju Łucyi. Zastałem tam doktora Heurtault i panią Franchard. Zbliżyłem się do Łucyi, która miała gorączkę i majaczyła. Położyłem rękę na jej czole, uspokoiła się zwolna i usnęła, poczem postać sformowała się.

— Biedny przyjacielu — rzekła mi — czyż muszę być przyczyną twego nowego bólu?
— Jeżeli zechcesz, możesz mi go oszczędzić, Łucyo.

W chwili tej usłyszałem głos doktora Heurtault. Słowa jego bardzo mnie zdziwiły, gdyż nie przypuszczałem, by tak mógł sądzić. Twierdził, że małżeństwo Łucyi nie będzie długo trwało i że pan Franchard zostanie ukarany za swój upór.

Dodało mi to otuchy. Wziąłem Łucyę pod ramię i poszliśmy do kominka, gdzie ona usiadła w swym ulubionym fotelu, ja zaś ukląkłem przy niej i pokrywając jej ręce pocałunkami, prosiłem, by nie godziła się na ślub. Powiedziałem jej, że umrę, jeżeli będzie należała do kogo innego.

— Wiem — mówiłem jej — że nie mam takiego stanowiska, jak pan Delille; moja rodzina nie jest sławna i niema majątku, lecz ja zdobędę jedno i drugie, jeżeli tylko mnie kochasz i zechcesz poczekać na mnie. Czy sądzisz, Łucyo, że tylko wypadek nas złączył? Czy moja dusza nie jest przeznaczona tobie? Czy możesz wytłómaczyć inaczej ten mistyczny związek, jak tylko wolą Boga.

— Tak, jak i ty wierzę — odpowiedziała mi — że Bóg przeznaczył nas sobie, lecz nie żądaj odemnie nieposłuszeństwa ojcu. By być godnymi siebie, musimy znosić z pokorą wszelkie doświadczenia, jakie na nas zsyła Bóg.

— Wielbię cię, Łucyo, lecz gdybyś mnie kochała, co innego słyszałbym od ciebie. Dla pozyskania ciebie, wszystko zniósłbym, oparłbym się wszystkiemu.

Łucya położyła rękę na ustach mych i pieszcząc włosy moje, rzekła:
— Nie mów tak, poddaj się woli Boga.
— Lecz ja podniosłem się podniecony i zawołałem:
— Jeżelibyś kochała mnie tak, jak ja ciebie, jedynie śmierć mogłaby nas rozłączyć!

Słowa moje wywołały łzy w jej pięknych oczach; padłem przed nią na kolana i zacząłem przepraszać. Przebaczyła mi i tyle wlała otuchy do mego serca, zapewniając, iż kocha mnie nad życie, że stałem się posłuszny jej i z nadzieją wróciłem do siebie.

Z następnego dnia była tylko notatka: Odesłanie różańca przez dra H.

Potem: Noc przeszła bez widzenia.

Pod datą piętnastego marca przeczytałem: Ł. przysłała mi różaniec, któremu zawdzięczam swe szczęście i nieszczęście. Na śniadaniu byłem u dra H., u którego zasnąłem potem w gabinecie.

Poraz pierwszy zjawiłem się u Ł. w dzień. Znalazłem się wprost w jej pokoju, założonym kuframi i walizami. Położyłem się na jej łóżku i płakałem. Po oczekiwaniu, które wydało mi się całą wiecznością, przyszła i spoczęła na szeslongu. Całowałem ją w usta, lecz nic nie czuła. Wtedy ręką swą dotknąłem jej czoła i po kilku minutach zasnęła. Nie widziałem, by postać jej sformowała się, lecz we śnie dostrzegła mnie, gdyż wargi jej poruszyły się i usłyszałem te słowa:

— Czy to ty? Dawno już przyszedłeś? Wszystko już skończone. Nie należę do siebie.
— Czy słyszysz mnie Łucyo? — zapytałem.
— Słyszę.
— Czy pozwalasz duszy mej iść za twoją, wszędzie, gdzie ty będziesz?
— Dusza moja należy do ciebie.
— Dokąd jedziesz?
— Do Hiszpanii.
— Czy zatrzymasz się po drodze?
— Nie! Chcę jechać wprost do Grenady.

Usłyszałem jakieś kroki w korytarzu. Łucya obudziła się zaraz, gdy wszedł mąż i zapytał:
— Czy jesteś już gotowa, moja droga? Czas jechać.

Zbliżył się do niej i chciał ją pocałować, lecz Łucya szybko cofnęła się, przewracając fotel. Pan Delille skrzywił się i tłomaczył: „Nie chciałem nic złego uczynić“, poczem zadzwonił na służbę i kazał wynosić kufry. W kilka chwil potem samochód unosił ich na dworzec i ja się zaraz obudziłem.

16 marca. Noc spędziłem w wagonie koło Łucyi, która nie chciała kłaść się spać. Pan Delille nie śmiał nalegać i sam położył się na górnem posłaniu. Usiadłem przy niej: zdawało mi się, iż odczuwa moją obecność. Wśród nocy zdrzemnęła się i spostrzegła mnie.

— Przyjacielu drogi — zwróciła się do mnie — nie idź za mną.
— Będę szedł w ślady twe, Łucyo, i nie opuszczę cię. Zawsze będę stał między tobą i tym człowiekiem, który nazywa cię swoją żoną.
— Nie czyń tego, proszę cię. Nie pogarszaj jeszcze losu mego! Pozwól mi, błagam cię, poddać się doświadczeniu, które Bóg na mnie zsyła.
— Bóg niema litości nad tobą, Łucyo!
— Zamilknij, zamilknij!...
— Co ci jest, moja droga — odezwał się pan Delille, nachylając się do żony — zdawało mi się, iż rozmawiasz z sobą. Czy jeszcze miałaś ten sen?

Łucya obudziła się nagle, lecz nic nie odpowiedziała.
— Czy nie jesteś cierpiącą?
— Nie — odrzekła i zaczęła odmawiać różaniec.

17 marca. Chciała jechać dalej do Grenady, nie zatrzymując się po drodze. Mąż z widoczną niechęcią przystał na to.

Zaraz po zaśnięciu spostrzegła mnie. Zauważyłem, iż w śnie jej jest coś szczególnego, lecz nie wiem co. Obecność moja dręczy ją; możeby i podała usta swe mężowi, gdyby się nie obawiała, że ja mogę być świadkiem jej pocałunków.

Mówiła do mnie tej nocy:
— Okrótnym jesteś! Opuść mnie! Czy nie dosyć ci, iż dusza moja jest twoją na wieki? pozwól mi być posłuszną małżonką, jak to nakazuje kościół.

Znalazłem sposób walczenia z intruzem, który porwał mi mą ukochaną. Niech Łucya nabierze przekonania, że ja zawsze jestem z nią, niech nie wie, kiedy jestem nieobecny, niech obawia się, że mogę być niewidocznym świadkiem jej czynów.

— Bądź posłuszną małżonką, jeżeli chcesz, lecz wiedz, żem niewidzialny zawsze przy tobie. Nazywasz mnie okrutnym, lecz cobyś powiedziała, gdybyś była na mojem miejscu i widziała, że oddaję się komu innemu. Co znaczy dusza, jeżeli nie należysz do mnie cała! Przeklinam wszystko wraz z twoim Bogiem!

— Nie bluźnij! — zawołała przerażona. — Nie pchaj mnie do grzechu! Myśl o zbawieniu wiecznem!...

Pan Delille dostrzegł wzruszenie żony.
— Co ci jest, moja ukochana? — zapytał. — Znowu rozmawiałaś?
— Nic mi nie jest — odpowiedziała obudzona, lecz nie śmiała już zasnąć.

18 marca. Zamieszkiwali w małej willi w Grenadzie. Siedzieli jeszcze przy stole, gdym się zjawił koło Łucyi. Skarżyła się na ból głowy i wcześnie powstała: pan Delille wydawał się zirytowanym. Byłem przy jej toalecie: odgadywała moją obecność, gdyż rozbierała się z wielką skromnością. Leżała już, gdy pan Delille zapukał do drzwi i zapytał, czy może wejść. Łucya udała, że śpi, wtedy mąż zapukał silniej: wstała i okryła się białym jedwabnym peniuarem.

Boże! na jaką straszną scenę musiałem patrzyć. Pan Delille w nocnym kostyumie zbliżył się do żony wziął jej rękę i podniósł do ust. Nie sprzeciwiała się.

— Moja droga Łucyo — rzekł — nie chcę wcale zrażać cię do siebie, lecz nie czyń mnie śmiesznym. Już trzecią noc spędzamy razem, ale ja dość głupią role odgrywam przy tobie.

— Wybacz mi — odpowiedziała Łucya — lecz jestem zmęczona tą długą podróżą. Umieram ze znużenia i snu.

— Moja obecność więc nie podoba ci się?

Płakała, załamując ręce. Jej milczenie, przestrach irytowały jeszcze bardziej męża. Człowiek ten bardzo uprzejmy na pozór, musiał być gwałtownym; obawiał się przedewszystkiem śmieszności.

— Nie odpowiadasz mi? Wiesz przecież, że nie chcę nic innego, jak tylko tego, czego mogę spodziewać się od żony; nie mam zamiaru być natrętnym; śpij, jeżeli chcesz, lecz pozwól, bym i ja spał w tym pokoju koło ciebie. Wychodząc stąd teraz, byłbym pośmiewiskiem całej służby.

— Boże mój! Boże! — zawołała Łucya, padając na klęcznik — Boże, miej litość nademną!

Pan Delille zniecierpliwiony coraz bardziej, zaczął przechadzać się po pokoju i wreszcie rzekł z udaną łagodnością.

— Jest to nierozumna nerwowość: rozbierz się i połóż: noc przywróci ci spokój, którego tak potrzebujesz.

Łucya zdawała się nic nie słyszeć.

Mąż podszedł do niej bliżej i dotknął się jej ramienia.

— Łucyo, przecież to już za długo trwa, połóż się.

Załkała głośniej, opuszczając głowę niżej na klęcznik.

— Śmieszną jesteś, moja droga, a ze mnie robisz głupca. Czy mam cię sam położyć? — i przy tych słowach zmarszczył brwi i czoło, a oczy zamigotały gniewnie.

— No, dosyć już tego! — rzekł: chciał ją wziąć przytem na ręce i zanieść na łóżko. Łucya wyrywała się, włosy jej rozwiązały się, peniuar i koszula rozdarły się szeroko, okazując śnieżną dziewiczą pierś, do której on przylgnął ustami. Rzuciłem się na niego zapomniając, iż jestem tylko cieniem, lecz w chwili tej Łucya krzyknęła przeraźliwie i padła na ziemię w konwulsyach.

Pan Delille stał nad nią i patrzył oszołomiony.
— Ładny podarek dał mi ojciec Furster! — szepnął przez zęby.

Przez chwilę wahał się, potem podniósł żonę, położył na łóżku i zadzwonił na pokojówkę. Gdy ta weszła, rzekł obojętnie:

— Proszę czuwać nad panią, bo jest cierpiąca.

Po tych słowach wyszedł, udając spokój. Pochyliłem się zaraz nad Łucyą i dotykając ręką jej czoła, uspokoiłem ją. Zwolna ukształtowała się jej postać.

— Czy byłeś tu? — zapytała.
— Tak.

Złożyła błagalnie ręce i podnosząc oczy do góry, zawołała:

— Boże, miej litość nademną!

Potem siadła i zaczęła płakać żałośnie. Ukląkłem przy niej i obejmując jej stan rękami, głowę oparłem na kolanach jej. Pozostaliśmy tak w milczeniu aż do rana. Była już siódma godzina rano, gdy się obudziłem u siebie.

19 marca. Przez cały dzień byłem bardzo smutny. Pod pozorem migreny położyłem się spać o ósmej, kładąc na piersiach różaniec; wkrótce zasnąłem.

Znalazłem się w pokoju Łucyi. Była sama i leżała zmorzona snem na szeslongu. Zbliżyłem się do niej i pocałowałem ją w czoło: zadrżała i rzekła:

— To ty?

— Ja, moja droga.

Wziąłem ją za ręce i zaraz ukształtowała się jej postać, podczas gdy ciało stało się trupie.

— Nie opuszczaj mnie — rzekłem do postaci Łucyi — nie opuszczaj!

Zarzuciła mi na szyję ręce i głowę złożyła na ramieniu; przytulałem ją do siebie. Tak pozostawaliśmy przy sobie, gdy nagle zapukano do drzwi.

— Pozostań przy mnie — rzekłem — chociażby wołano cię i wstrząsano twem ciałem. Pozostań! — I silniej jeszcze przycisnąłem ją do piersi. Słyszałem, jak biło silnie jej serce: drżała cała.

Była to pokojówka; wyszła ona zaraz, lecz odgłos jej kroków na korytarzu zmieszał się z odgłosem innych, cięższych; zapukano silnie, drzwi się otworzyły i ukazał się w nich pan Delille z twarzą zmarszczoną. Podszedł do żony i budził ją.

— Nie ruszaj się — mówiłem jej — dałaś mi swą duszę i ja ją chronię.

Łucya poddała się mym słowom, głowa jej zwisła na mej piersi, a ręce zacisnęły się na szyi.

Tymczasem pan Delille wołał niecierpliwie:

— Obudź się, Łucyo, wstań... Lodowata jest — dodał, biorąc ją za rękę. — Wygląda jak martwa.

Naprożno starał się obudzić ją, aż wreszcie przestraszony posłał po lekarza, mrucząc bezustannie:

— Co za głupia awantura.

W kwadrans potem zjawił się doktór; opukał Łucyę, zbadał i rzekł po francusku:

— Jest to letarg. Należy zachować ją w spokoju.

— Co trzeba uczynić, by wyleczyć żonę?

— Najlepiej nic teraz nie czynić. Przyjdę jutro. Niema jednak powodu do niepokoju.

Pan Delille poszedł na obiad, w pokoju zaś pozostała tylko służąca.

— Nie pozostawajmy tutaj — rzekłem do postaci — wyjdźmy z tego wstrętnego pokoju.

Poraz pierwszy błądziliśmy samotni w cichej nocy: dokoła była cisza i pustka. Poszedłem wzdłuż murów starej fortecy arabskiej, trzymając na rękach zawieszoną na mej szyi ukochaną. Czułem, jak przechodzi z niej we mnie łagodne ciepło; serce me biło silnie, drżałem cały jakby z chłodu; doznałem rodzaju zawrotu, siła jakaś zwróciła mą twarz do Łucyi i oparła wargi me na jej ustach. Ręce jej ściskały mnie coraz silniej i z piersi naszych dobyło się westchnienie, zamknięte w długim pocałunku. Wszystko koło mnie wirowało, zdawało mi się, że coś unosi mnie w dal, gdy naraz Łucya wyrwała się z mych objęć i poszła szybko naprzód. Zbliżyłem się do niej.

— Nie podchodź mnie! Moje serce za słabe jest na tyle radości i ja nie należę do siebie.

— Czyż nie mam twej duszy?

— Posiadasz ją, lecz pocałunek ten nie tylko duszami zamieniliśmy.

Oparła się o mur i płacząc, wzywała pomocy Boskiej. Gdy się uspokoiła rzekła:

— Pozwól mi wrócić do męża, czuję, że źle czynię.

— Łucyo, czyż dusza twoja nie jest moją? Czyż ciało twoje nie spoczywa tam? Dotrzymałaś przyrzeczenia ojcu, dotrzymaj i mnie i Bogu! Wierz, że nasze mistyczne złączenie i życie jest dziełem dobroci Wszechmocnej. Widzi ona czystość naszych serc i błogosławi naszej miłości.

Czułem, że Łucya myśli tak samo jak i ja. Po chwili podała mi rękę i poszliśmy razem przed siebie do dawnych pałaców kalifów maurytańskich. Szybko minęliśmy mury i znaleźliśmy się w jakiejś galeryi, która kończyła się rodzajem belwederu: rozpościerał się stąd cudowny widok na dolinę, leżącą u naszych stóp. Oparłem się na kamiennej balustradzie, pociągając Łucyę do siebie: nie opierała się; drżąc cała, z oczami wilgotnemi od łez nachyliła ku mnie swą twarz i zwarliśmy się w pocałunku. Serce moje wydało mi się za małem na tyle radości, ile w sobie czułem.

20 marca. Wcześnie zjawiłem się u Łucyi; powróciła przed chwilą ze spaceru i była smutną i czemś przejętą. Około pół do dziewiątej pan Delille zapytał, czy będzie z nim jadła obiad. Zgodziła się i wyszła z pokoju; ja pozostałem sam; nie widziała mnie, lecz zapewne przeczuwała. O pół do dziesiątej wróciła do swego pokoju: przyszedł z nią i mąż: starał się być miłym i zająć ją rozmową, lecz widząc swe usiłowania daremnemi, wstał zmarszczony.



...w chwili tej Łucya krzyknęła przeraźliwie i padła na ziemię w konwulsyach...

— Jesteś czegoś niespokojna — rzekł. Co ci dolega? Jeżeli jesteś cierpiącą, poślę po lekarza.

Łucya podziękowała, skarżąc się tylko na ból głowy i rzekła, że chce się położyć spać. Mąż zadzwonił na pokojówkę, lecz wtedy ja zbliżyłem się i kładąc rękę na jej czole, uśpiłem ją; postać zaraz zjawiła się koło mnie. Pan Delille stał przy oknie oparty o szybę. Gdy służąca podeszła do Łucyi, zawołała naraz przerażona:

— Pani zemdlała!

Pan Delille wiadomość tę przyjął obojętnie, wzruszył ramionami i kazał przenieść żonę z szeslongu na łóżko, sam zaś wyszedł. Wtedy i ja, otaczając Łucyę ramieniem, pociągnąłem ją pod rosnące w sułtańskich ogrodach cyprysy. Oświetleni blaskiem księżyca, przytuleni do siebie, składaliśmy pocałunkami przysięgi miłości. Dwa dni następne zanotowane w notesie upłynęły im tak samo. Łucya zwolna przyzwyczaiła się do gorących objawów miłości Leyre'a, pieszczoty ich jednak kończyły się tylko pocałunkami. Pan Delille nietylko nie przestaje być w złym humorze, lecz zaczyna się i niepokoić. Doktór uznał trupi wyraz jego żony w nocy za objaw silnej histeryi.

Ostatni sen zapisany był z dwudziestego drugiego, nie mogłem więc dowiedzieć się, co się stało nazajutrz i czy sen miał jaki związek z jego raną. Mój pacyent powracał bardzo wolno do sił; przez kilka dni leżał w silnej gorączce, a gdy ta ustąpiła, był tak osłabiony, iż z trudem tylko mógł się odzywać, przytem stracił zupełnie pamięć faktów poprzedzających jego zranienie.

W tym czasie zjawił się u mnie ks. Jauga, który znalazł dziwne wytłómaczenie dla tego tajemniczego wypadku.

— Jestem przekonany — rzekł ksiądz z przejęciem — że znajdujemy się wobec faktu przeniesienia ciosu. Pan Leyre został raniony w ciało duchowe, a skutki tego objawiły się w ciele materyalnem. W podobnych wypadkach zawsze daje się zauważyć obfity upływ krwi. Gwałtowny powrót ciała duchowego w organizm w chwili wymierzenia ciosu i ranienia, tłómaczy stan porażenia, jaki pan stwierdził. Przekona się pan, że moje pojmowanie faktu jest słuszne. O ile proboszcz nie mylił się, można poznać z tego, co mi opowiadał pan Leyre po przyjściu do przytomności.

Gdy obudził się w pokoju pani Delille, była ona już ubrana i szykowała się do wyjścia. Co chwila powtarzała to zdanie: „Mąż chce, bym poszła z nim na cygańskie przedstawienie patrzeć na ich tańce“.

Leyre domyślił się, iż pani Delille spodziewa się jego przyjścia i tłómaczy, dlaczego ubrana jest jak na spacer. Wkrótce potem przyszedł po nią mąż i wsiedli do powozu; razem z nimi było kilka innych pojazdów pełnych gości.

— Bez trudu udałem się za nimi — mówił mi Leyre. — Pojechaliśmy za Grenadę do małej miejscowości, gdzie powozy zatrzymały się przed domkiem, wykutym w skale. Drzwi były otwarte i przez nie widać było niską, dość jasno oświetloną salę. Sześć kobiet o ordynarnych rysach, po większej części stare już i zwiędłe, a wszystkie brzydkie, ubrane były w jaskrawe, pretensyonalne stroje: obok nich stało dziesięciu starszych chłopców, z których kilku grało na gitarach. W głębi siedziała stara kobieta, cała w zmarszczkach, z czarnemi, przenikliwemi oczami i paliła krótką fajkę. U jej nóg przykucnęła młoda, trzynastoletnia dziewczynka, bardzo ładna, lecz z zepsutym wyrazem twarzy.

Cudzoziemcy siedzieli na krzesłach wzdłuż ściany, naprzeciw tancerek: wogóle było dwanaście osób, z tych trzy angielki i Łucya. Jakieś przeczucie powstrzymało mnie, gdym już miał wchodzić; cofnąłem się w bok i siadłem na wystającym gzymsie, ale tak, iż widziałem wnętrze sali.

Uderzyli w gitary i rozpoczęli tańce: fandagos, jota, sevillana, habanera i tango. potem wszyscy siedli, a podniosła się ta mała dziewczynka, siedząca przy starej i zaczęła tańczyć sama. Była jeszcze niedoświadczona i niewyćwiczona, lecz jej szybkie ruchy, lekkość i gibkość całego ciała, nadawały tańcowi temu niewysłowiony czar.

Następnie miał być koncert: gdy muzykanci stroili gitary, impressario, stary cygan, ubrany w zielony, aksamitny kostyum i wysoki kapelusz z różnokolorowemi wstążkami, zbliżył się do gości i zaproponował wróżenie. Jeden Anglik zgodził się: poprowadzono go do starej cyganki, która poprosiła go, by siadł przy niej. Za przykładem Anglika poszli i inni pokazywać wróżce swe ręce. Wracali z uśmiechem, lecz nie zawsze szczerym, wszyscy jednak przyznawali, iż często odgadywała prawdę.

Państwo Delille nie naśladowali innych. Impresario namawiał ich, lecz odmówili, wtedy zwrócił się do pana Delille jakiś Anglik:

— Istotnie, niech pan pokaże rękę tej starej wiedźmie: warta jest tego.

— Nie interesują mnie takie rzeczy — odparł mąż Łucyi.

— Ależ ona cudownie czyta z rąk. Straci pan okazyę zabawia się.

Stara musiała się domyśleć treści rozmowy, gdyż zaczęła dawać znaki panu Delille, który, by nie okazać się śmieszzym, poszedł do niej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon wybitnego publicysty.

Dnia 7 b. m. zmarł w Krakowie jeden z najwybitniejszych polskich publicystów, ś. p. Alfred Szczepański, licząc lat 69. Zmarły szkoły średnie i uniwersytet ukończył w naszem mieście i w bardzo młodym wieku, bo już przed 63-cim rokiem brał poważny udział w życiu publicznem, następnie był członkiem Rządu narodowego i z jego ramienia naczelnikiem miasta Krakowa.

Odpokutowawszy swój udział w ówczesnych wypadkach dwuletniem więzieniem na Zamku w Krakowie i w Ołomuńcu, poświęcił się ś. p. Alfred z wielkim zapałem pracy literackiej i dziennikarskiej. Jakiś czas redagował tygodnik *Kalinę*, a następnie z drem Ludwikiem Gumplowiczem postępowo-demokratyczny dziennik *Kraj*. W roku 1880 powołał go do Wiednia hr. Ludwik Wodzicki, pierwszy gubernator Länderbanku, na sekretarza tej poważnej instytucyi finansowej.

Na stanowisku tem pozostał ś. p. Alfred lat 19, pracując równocześnie na niwie dziennikarskiej, jako korespondent wielu pism polskich i zagranicznych. W dziennikarskich sferach wiedeńskich wyrobił sobie zmarły pozycyę wyjątkową, czego dowodem, że przez lat kilkanaście był prezesem „Związku prasy zagranicznej“ w stolicy naddunajskiej. Brał też udział we wszystkich międzynarodowych kongresach prasy, dzielnie reprezentując na nich dziennikarstwo polskie. Dom zaś państwa Szczepańskich — ożeniony był z p. Zieleniewską, siostrą Leona i posła Edmunda — był w Wiedniu ogniskiem, w którem skupiali się chętnie bawiący tam przedstawiciele polskiej inteligencyi.

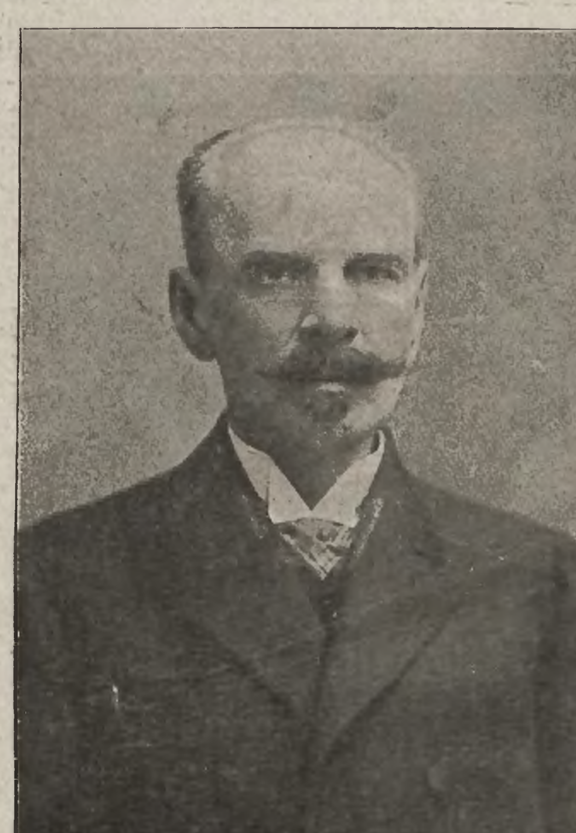
Przed dziesięciu laty osiadł zmarły w Krakowie, lecz przebywał coroku przez kilka miesięcy w Zakopanem i przyczynił się wiele do wzmożenia frekwencyi i rozwoju turystyki w tem letnisku.

Ś. p. Alfred Szczepański dużo pisał i tłómaczył w zakresie polityki, a od początku swej karyery publicystycznej zwracał baczną uwagę na krajowe sprawy ekonomiczne i zachęcał do pracy wytwórczej. Posiadał także wykwintne pióro literackie, czego dowodem takie jego prace literackie, jak: „Artur Grottger“, „Na greckiej lirze“, dramat „Na ojcowiźnie“ i wiele innych.

Pozostawił on jedynego syna, Ludwika, zaszczytnie znanego literata i redaktora *Nowin*, któremu wyrażamy z naszej strony serdeczne współczucie z powodu bolesnej straty, jaka go dotknęła.



Dla postrachu: Szubienica ze zwłokami powieszonych uczestników kontrrewolucyi z dnia 13 kwietnia.



Zgon wybitnego publicysty: Ś. p. Alfred Szczepański.



Fot. M. Münz, Lwów.

Czartowska skała“ we Lwowie: Krzyż na szczycie „Czartowskiej skały“, u stóp jej grono członków „Gwiazdy“.

Kronika tygodniowa.

(Majowy wstęp. — Pana Abdulowe kłopoty. — Losy sułtańskiego haremu. — Widmo nowej rewolucyi. — Majowe wrzenie w Austryi i na Węgrzech. — Włoska mizerya. — Radość w Holandyi. — Pomnik wierności i sojuszu. — Hakata przy pracy. — Książę Henryk pruski w Galicyi. — Lwów i Kraków).

Maj już przechodzi w drugą połowę, a pogoda, jaka była na początku, utrzymuje się w całej pełni. Gdzie spojrzysz, każdy zakatarzony, mieszkania lekarzy w oblężeniu, z zakładu zastawniczego odbierają na gwałt paltoty i futra, a już najbardziej cieszy się dzierżawca Parku Krakowskiego i na gwałt urządza na nowo ślizgawkę, której inauguracya odbędzie się z całą pewnością w pierwszy dzień Zielonych Świąt. Ale nietylko my Krakowianie możemy narzekać na kaprysy matki przyrody, w tem samem położeniu są bracia nasi z tej i tamtej strony Sanu, gdyż z całej Galicyi, od Rudawy po Zbrucz, nadchodzą smutne wieści o stanie pogody, które nawet najweselej usposobionego człowieka są w stanie pogrążyć w czarną melancholię. We Lwowie biły pioruny, w Krynicy zatrzęsła się aż ziemia, nie mogąc się doczekać pięknych kuracyuszek, które fatalna aura powstrzymała przy ognisku rodzinnem. Rzeki galicyjskie zapomniały o należytem posłuszeństwie i powystępowały z brzegów, przypominając światu pokutującą gdzieś w Wiedniu sprawę kanałów, regulacyi rzek i uchronienia Krakowa przed powodzią, oraz połączoną z niemi zapomocą *junctim* sprawę odniemczenia krakowskiego dworca. Nawet nasza staruszka Rudawa rozbrykała się, a uczucia wzdęły jej łono, co, jak wiadomo, w późniejszym wieku jest bardzo niebezpieczne. Troskliwy o dobro mieszkańców magistrat krakowski porozstawiał na ulicach łodzie, deski i kobylice, czem sprawił frajdacyę młodemu pokoleniu, które na nich próbowało swych akrobatycznych zdolności. W myśl znanego przysłowia nie obawiali się powodzi jedynie Goryl i Łata, reszta Krakowian drżała o swoje życie.

Po takim prawdziwie majowym wstępie, przystępuję odrazu *in medias res*. Punktem ciężkości polityki światowej jest dotąd kwestya turecka i losy zdetronizowanego sułtana, który w towarzystwie jedenastu hurysek spożywa w Salonikach gorzki chleb wygnania. Oj, bo że on gorzki jest, to każdy przyzna, skoro taki Krezus, jakim jest Abdul-Hamid musiał sobie aż pożyczać pieniędzy, bo brakło mu na najkonieczniejszé wydatki. Zanadto pospiesznie opuszczał Carogród, gdzie o mało w roztargnieniu nie zostawił głowy, nic też dziwnego, że nie zabrał ze sobą pieniędzy, lecz zostawił je na łup zdobywców. Rewizya i konfiskata, przeprowadzona w Ildiz-kiosku, dała Młodoturkom wspaniałą zdobycz materyalną i moralną. Znaleziono 773.000 funtów tureckich w gotowiźnie i walorach, wskazówki, gdzie jest ulokowaną reszta kapitałów sułtańskich, oraz całą bibliotekę listów od rozmaitych wybitnych osobistości z całego świata. Były tam i pisma od różnych krakowskich znakomitości, nazwisk ich wymieniać mi jednak nie wolno, gdyż na wyraźną prośbę wielkiego wezyra, z którym niegdyś chodziłem do pierwszej klasy normalnej u św. Barbary, mają one pozostać tajemnicą.

Większą część europejskich, więc i krakowskich polityków zajmuje obecnie kwestya, co się stanie z haremem sułtańskim. Czytałem w którejś gazecie, że podobno zaangażowano biedne opuszczone wdowy do wiedeńskiego Carltheatru, gdzie mają się popisywać w balecie, doszła mnie jednak także wiadomość, że losem ich zajmą się pobożne damy krakowskie, które nawet rozpoczęły już w tym celu zbieranie składek. Wysyłają też nad Bosfor kogoś zaufanego, któryby się zajął ich losem i wyrwał je ze szponów szatana. Młodoturków obawiać się nie potrzebują, są to ludzie, którzy dotrzymują przyrzeczeń. W swym manifeście do narodu obwieścili, że przy zajęciu Konstantynopola krew się nie polęje, nie zawiedli też zaufania, jakiem ich ludność obdarzyła, gdyż po zajęciu miasta nikogo nie ścięli; natomiast szubienica pracuje w całej pełni, lecz to jest przecież operacya bezkrwawa.

Ciekawe wiadomości nadchodzą z Turcyi, i to tem ciekawsze, iż coraz to rozmaitsze. Dowiadujemy się, iż już nowego sułtana posądzają o reakcyę, a w Konstantynopolu ma się przygotowywać kontrrewolucya. Podobno Staroturcy i zwolennicy sułtana, których jest ogromna większość w prowincyach azyatyckich, zaczynają się ruszać i rozwijają energiczną akcyę przeciw Młodoturkom, a ma im w tem pomagać policya. Starają się ludność mahometańską Konstantynopola, przychylną Abdul-Hamidowi, powołać pod broń i rzucić na garnizon młodoturecki i chrześcijan. To spowodowałoby interwencyę Europy, przy której pomocy zdetronizowany sułtan powróciłby ze Salonik, a jego miejsce zajęłby były Reszad, dziś Mahomet V. Terminem wybuchu miała być uroczystość przypasania świętego miecza nowemu sułtanowi, która to uroczystość odbyła się w tych dniach. Jak dotąd, wiadomości żadnych nie mamy z Konstantynopola, choć, by módz Czytelników zawiadomić zaraz o zaszłych wypadkach, urządziłem telegraf bez drutu na szczycie wieży Maryackiej za specyalnem pozwoleniem władz politycznych, autonomicznych, duchownych i wojskowych. Telegraf mój milczy jednak jak zaklęty, widocznie zaziębił się skutkiem obecnego majowego powietrza.

Ale nietylko w Turcyi ma tamtejszy rząd kłopot, to samo dzieje się w całej Europie, rzecz prosta więc i w naszej c. k. szerszej ojczyźnie. I tu maj daje się we znaki. Do kłopotów, jakich rządowi bar. Bienertha przysporzyły wnioski i projekty finansowe exc. Bilińskiego, przyłączyły się wyrazy niezadowolenia agraryuszy, którzy nie chcą się w żaden sposób zgodzić na otwarcie granicy dla obcego zboża, twierdząc, iż niech raczej ludność z głodu wyginie, niżby oni mieli stracić na swych produktach — i sprawa nowego banku włościańskiego w Bośni. Rzadka jednomyślność okazała się w parlamencie w obronie zagrożonej wódeczności i piwa. wobec niej nie utrzyma się najsilniejszy gabinet. Mniej już energicznie wystąpiono przeciw agraryuszom, wychodząc z zasady, że bardzo łatwo można obejść się bez chleba i bułek, zwłaszcza gdy w ostatnich czasach naukowo stwierdzono, iż zawierają one za wiele mąki, są więc zdrowiu szkodliwe. Najsłabiej wypadła akcya przeciw owemu bankowi agrarnemu w Bośni. Pan Burian, wielkorządca Bośni i Hercogowiny, dbając o dobro powierzonego jego pieczy ludu i pragnąc go wykupić z resztek pańszczyźnianej niewoli, postanowił konsorcyum budapeszteńskich bankierów dać przywilej na postępowe garbowanie chłopskich skór. Potrzebne jest jednak *placet* obu rządów, austryackiego i węgierskiego. Węgrzy, którzy są w tem przedsiębiorstwie najbardziej interesowani, zgodzili się naturalnie bez zastrzeżeń, natomiast bankierzy wiedeńscy oburzyli się takiem lekkiem ich traktowaniem i wołają: a my gdzie? Za nimi poszli i inni ich przyjaciele i zrobił się w Wiedniu huczek: chcą dymisyi całego gabinetu lub choć tylko excellencyi Bilińskiego, który zresztą, jak sam powiada, ma zawsze spakowane kufry. Mam niepłonną nadzieję, że z tego ostatniego powodu rząd austryacki od parlamentu nie otrzyma *votum* nieufności, gdyż tymczasem węgierscy bankierzy potrafią jakoś ugłaskać swych wiedeńskich kolegów.

I na Węgrzech dało się we znaki majowe powietrze. Ofiarą żądania samodzielnego banku narodowego padł gabinet Wekerlego, który musiał się podać do dymisyi. Cesarz dymisyę przyjął, polecając dotychczasowemu ministerstwu prowadzenie tymczasowo dalej agend państwowych. Ponieważ owo „tymczasem“ jest w Austro-Węgrzech bardzo rozciągliwe, możemy być spokojni, że maj i czerwiec przeminą, a pan Wekerle będzie „tymczasowo“ dalej rządził.

Nie lepiej dzieje się we Włoszech, gdzie rządowi ogromne kłopoty sprawia reforma armii i marynarki, co pociągnie za sobą gwałtowne zwiększenie wydatków, na które niema pokrycia. Trójprzymierze ogromnie trzeszczy, jak bają politycy, szczególnie po zjeździe w Bajach, pocieszają się jednak, że wizyta cesarza Wilhelma naprawi sytuacyę. Cesarz ma we Włoszech powiedzieć „coś“, co całą Europę wprawi w zdumienie. Nie omieszkam o tem poinformować Szanownych Czytelników, gdyż wybieram się na ów zjazd, a prosto stamtąd jadę do Holandyi, aby osobiście sprawdzić na miejscu podniosły nastrój, jaki panuje w kraju z powodu urodzin następczyni tronu.

Woleliby Holendrzy wprawdzie następcę, pocieszają się jednak nadzieją, iż będą mieli króla, gdyż prawo holenderskie wyraźnie powiada, że w razie przyjścia na świat następcy, siostra musi mu ustąpić pierwszeństwa, a książę małżonek, zachęcony widokiem tylu kołysek, które żona od ludności otrzymała w darze, prawdopodobnie o następcę w najkrótszym czasie się postara. Holandya, to jedno państwo, o którem w polityce bardzo mało słychać. Rząd nie kłopocze się załatwieniem sporów między ludnością, nie obiecuje wiernym poddanym gruszek na wierzbie, jak np. nie pokazując palcem nasz, natomiast corocznie musi się starać o przygotowanie festynów w oczekiwaniu przybycia na świat upragnionego następcy lub następczyni. Cesarz Wilhelm gotów zdegradować księcia, który był niegdyś oficerem niemieckim, iż tak pokrzyżował zamiary i apetyty pruskie, a przynajmniej wyrazi mu swoje najwyższe niezadowolenie, co znowu gotowo tego ostatniego zachęcić do tem gorliwszej i wydatniejszej pracy dla dobra nowej ojczyzny.

Reasumując więc wypadki majowe w całym świecie, z uwzględnieniem i innych państw, o których w bieżącej kronice nie wspominam, np. Niemiec, gdzie blok się chwieje, Serbii, gdzie panują galopujące suchoty, Czarnogóry, gdzie zawiodła nadzieja przypłynięcia brzęczącej floty, skonstatować należy, że jedynie w Holandyi panuje wiosna, gdzieindziej w Europie jeszcze zima. Lodowate stosunki roztają może po przybyciu cesarza Wilhelma do Wiednia, co ma dać sposobność patryotycznie usposobionej Radzie miejskiej wiedeńskiej do powzięcia postanowienia uczczenia „wierności i sojuszu“ niemieckiego wspaniałym pomnikiem na cześć Germanii, który ma stanąć na wiedeńskim *Ringu*. Kłopot tylko, jaki ma być pomnik. Projektowano, by artysta przedstawił dwie splecione serdecznym uściskiem niewiasty, Austryę i Germanię; znawcy stosunków orzekli jednak, iż pomnik taki nie może być trwały, dwie baby bowiem długo w zgodzie nie wytrzymają koło siebie. Daleko odpowiedniejszem byłoby utworzenie symbolicznej grupy: staruszka ociemniała z pustą torbą o żebraczym kiju, prowadzona za rękę przez przyjaciółkę w pikelhaubie i butach z ostrogami. W ten sposób zillustrowaną byłaby i idea pokojowa, przyświecająca obecnie światu. Sądzę, że pan burmistrz Lueger, o którego artystycznych zdolnościach mam wysokie wyobrażenie, rozetnie jakoś ten węzeł gordyjski, choć powiadają, że on nie jest wcale muzykalny, gdyż onegdaj nie mógł się w Tryeście zoryentować, czy Włosi urządzili mu przed oknami serenadę, czy kocią muzykę...

Z naszych krajowych stosunków muszę nadmienić o nader gościnnem przyjęciu, jakiego ze strony hakatystycznej hołoty doznali w Bielsku nasi posłowie. Gdyby nie awantury szowinistycznych drabów, mało kto byłby wiedział, że posłowie polscy przybyli na uroczystość poświęcenia do rdzennie niemieckiego Bielska, któremu burmistrzuje rodowity Niemiec, jak już z samego nazwiska widać, p. Gutwiński. Władze miejskie zachowały się z rezerwą, pozwalając Niemcom pohulać sobie i dać upust szerokiej naturze, na p. Gutwińskiego nie gniewamy się jednak, boć on jest aptekarzem... Z równą serdecznością odnoszą się do nas bracia Czesi na Śląsku, w myśl braterstwa słowiańskiego nie pozwalający na otwieranie polskich szkół dla polskich dzieci, zaco my im zgotujemy serdeczne przyjęcie, gdy przybędą, by u stóp Wawelu zapewnić nas o swych sympatyach. Przecież wrodzona polska gościnność nie pozwoli na to, by nie przyjąć ich jak braci, choć oni obchodzą się z nami jak bracia i to rodzeni, np. Kain z Ablem. Jestem przekonany, że gdyby do Krakowa przybył taki nasz przyjaciel, jak np. Trylowski lub Budzynowski, śpiewalibyśmy ile sił i gardła starczy *Szcze ne wmerła*, by tylko nie narazić na szwank wyobrażenia, jakie powinna mieć Europa o naszej gościnności. Z tego samego zdaje się powodu księcia Henryka pruskiego ma w Oświęcimiu imieniem klubu automobilowego powitać jeden z przedstawicieli polskiej arystokracyi, gdy przybędzie na wycieczkę po Galicyi. Przy tej sposobności nie omieszka zapewne, choć sam luter, odwiedzić krakowskich Augustyanów, by zagrzać swe serce przy niemieckiem ognisku, jakie czcigodni Ojcowie rozniecili nad Wisłą. Wypadnie mu także po drodze złożyć kondolencyę pobratymcowi ks. Hohenlohemu, który, jak zapewne powiedzą Szwabi, przez polską intrygę przerżnął proces z Zamojskim o Morskie Oko.

Nasz Kraków ubiegły tydzień przeżył zupełnie spokojnie. Prócz obchodu ku czci Anczyca, który wypadł okazale i wojny domowej o prolog do „Dworu królewskiego“, która dzięki Bogu już się skończyła bez strat obustronnych, nie mieliśmy żadnych większych sensacyi, jak np. Lwów, gdzie już w policyi kradną, jak to miało miejsce niedawno, gdzie jakiś ekspropryator buchnął spokojnemu obywatelowi parasol i zarzutkę w biurze meldunkowem c. k. Dyrekcyi policyi. Kłopot ma swoją drogą ta biedna policya z mordercą Stoffów, chciałaby, aby o nim już zapomniano, a tu raz odzywa się Śląsk, to znów Austrya dolna: Jest morderca! — ona zaś na jedną stereotypową odpowiedź: — Błaga łaskawi panowie! On jest w Ameryce, stamtąd do nas przysłał widokówkę! *X.*

Walka o bank.

Od dłuższego czasu toczy się między rządem węgierskim a rządem austryackim zacięta walka o bank agrarny dla Bośni. Ofiarą tej walki padnie najprawdopodobniej bar. Burian, wspólny minister skarbu i z tego tytułu naczelny sz-f Bośni i Hercegowiny.

Bar. Burian miano udzielił pewnemu konsorcyum węgierskiemu koncesyi na założenie banku agrarnego w Bośni, którego celem i zadaniem ma być udzielanie pożyczek kmieciom tamtejszym, chcącym się wykupić z pańszczyzny. Koncesyę tę uznał rząd austryacki jako jednostronną i zaprotestował przeciw decyzyi w tej sprawie bez porozumienia się z rządem austryackim, tem więcej, że bośniacki rząd krajowy miał objąć także gwarancyę finansową.

Wobec takiego stanowiska rządu austryackiego, bar. Burian, któremu widocznie bardzo zależało na udzieleniu koncesyi owemu konsorcyum, zgodził się na szereg formalnych ustępstw, zgodnie z postulatami rządu austryackiego, skutkiem czego rząd austryacki nie sprzeciwiał się już udzieleniu koncesyi.

Mimo to stanowisko bar. Buriana jest bardzo poważnie zachwiane. Ogólna jest opinia, że nie długo już będzie wspólnym ministrem i wielkorządcą w Bośni i Hercegowinie. Pojawiają się też w prasie wiedeńskiej coraz częściej ataki przeciw niemu, wskazujące jego winę w częstych zatargach między rządami austryackim a węgierskim. Ustąpienia ministra Buriana oczekiwać należy jeszcze przed zwołaniem delegacyi.

Odznaczenie zasłużonego kolejarza.

Rzadki w życiu kolejarzy, obfitem w trudy i odpowiedzialność, a ubogiem w uznanie, wypadek odznaczenia prawdziwych zasług pracownika pierwszorzędnych zalet, miał miejsce w ważnej stacyi granicznej Oświęcimiu, której naczelnik nadkomisarz Mydlarski w dniu 4 b. m. odznaczony został złotym krzyżem zasługi z koroną.

Odznaczenie to w tym wypadku spotkało człowieka, który swemu stanowi zaszczyt przynosi, jako urzędnik fachowo wysoko wykształcony, wybitny znawca nowoczesnej techniki ruchu kolejowego, pełen obowiązkowości i niezmordowany w pracy, żywy przykład dla swych podwładnych i tych podwładnych życzliwy opiekun. Tym zapatrywaniom co do zasług i przymiotów odznaczonego dali wyraz w przemówieniach swoich inspektor Kessler, który imieniem przełożonej władzy zawiesił dekoracyę na piersiach p. Mydlarskiego, oraz zastępca naczelnika Blumenstock, który imieniem urzędników stacyi wyraził radość ich z powodu odznaczenia i życzenia dla ukochanego naczelnika. Wzruszony do głębi przemówił następnie naczelnik Mydlarski, dziękując za te objawy prawdziwej życzliwości, wskazując w skromności swojej na swych podwładnych, jako właściwie zasłużonych współpracowników swoich i podporę w ciężkiej i odpowiedzialnej służbie.

Nastąpiło wspólne zdjęcie fotograficzne, a potem



Walka o bank: Wspólny minister skarbu bar. Burian.

bankiet, podczas którego między innymi przemówił w serdecznych słowach, sławiąc przymioty towarzyskie i koleżeńskie solenizanta, naczelnik stacyi w Krakowie inspektor Sedlaczek.

Wśród serdecznej pogawędki przeciągnęła się do późna ta miła prawie rodzinna uroczystość, która uczestnikom na długo pozostanie w pamięci.

„Czartowska skała“ pod Lwowem.

Dużego rozgłosu nabrała w ostatnich dwu tygodniach znana tylko nieznacznej liczbie mieszkańców naszego kraju t. zw. „Czartowska skała“, o godzinę drogi oddalona od rogatki Łyczakowskiej we Lwowie.

Jest to najwyższy punkt z całej okolicy Lwowa, przewyższa go tylko nieco sam szczyt kopca Unii Lubelskiej na Wysokim Zamku. Las stary bukowy i świerkowy podchodzi aż pod wierzchołek wzgórza. Pionowo sterczące skały z wapnistego, twardego jak granit piaskowca odsłonięte są i nagie z wszystkich czterech stron. Największa skała, mająca 15 metrów wysokości, piętrzy się od północy i wschodu, pionową, ściętą ścianą, którą lud miejscowy powszechnie nazywa „kazalnicą czartowską“. Poniżej tej skały na północnym stoku góry sterczą z ziemi olbrzymie głazy kamienne, postrzępione w fantastyczne formy, objętości kilku do kilkunastu metrów sześciennych.

Dawniej, przed wiekiem „Czartowska skała“ była daleko piękniejszą, niż dzisiejsze jej szczątki. Rozległa, olbrzymia, pod sam swój wierzch kamienna, padała powoli ofiarą chciwości ludzkiej. Już dziś świeci dziurami wybranego kamienia. Na szczęście duży szmat i piękny „Czartowskiej skały“ uratowano od zagłady.

W czasach strasznych najazdów hord tatarskich na Lwów, pod stokami tej skały, na polach Lesienic i Krzywczyc staczano bitwy, a ze szczytu jej wypatrywano nadciągającą czerń nieprzyjacielską. Ongiś, za panowania króla Jana III., hetman Stanisław Jabłonowski stał tu na czatach i czekał na krwawy tan z najezdzcami. Dużo podań ludowych wiąże się z przeszłością „Czartowskiej skały“, a w dobie obecnej piękne to ustronie leśne jest najmilszem miejscem przechadzek mieszkańców Lwowa, a przeważnie młodzieży. „Czartowska skała“ wraz z olbrzymimi obszarami lasu jest własnością od dawnych lat PP. Benedyktynek łacińskich.

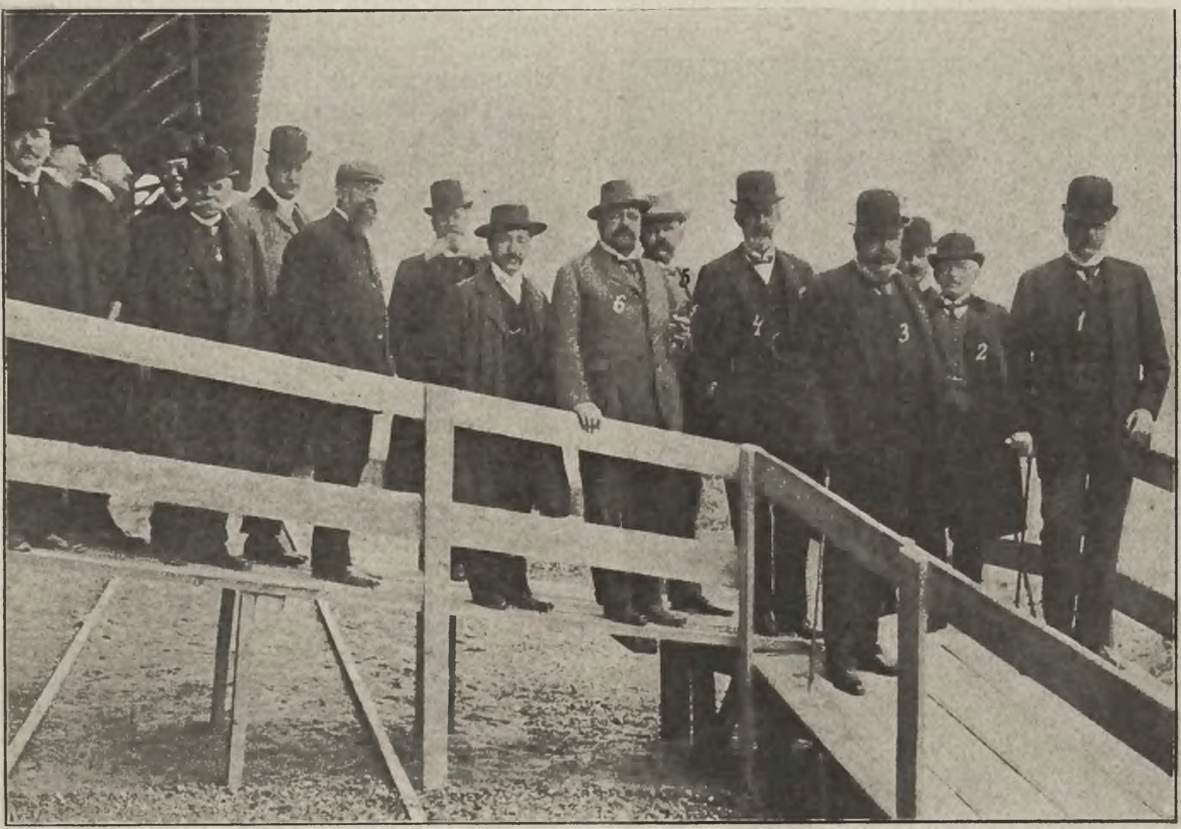
Stowarzyszenie lwowskiej „Gwiazdy“ przyozdobiło „Czartowską skałę“, związaną wspomnieniami dawnej, wielkiej przeszłości naszej, żelaznym krzyżem, u stóp którego umieszczono kamień z napisem „3 Maja“ a poniżej na szarej ścianie skały dotykającej obszernej polanki, na szczycie wmurowano żelazną tablicę poświęconą pamięci bohaterów Racławickich.

Rycina nasza przedstawia właśnie tę część skały, zwanej „kazalnicą czartowską“, na której umieszczono krzyż i tablicę. Od strony zachodniej sam szczyt skały dostępny jest od polanki. Z tej strony umieszczono tablicę. Dziś, niestety, sterczy w miej-



Odznaczenie dzielnego kolejarza: Grupa uczestników uroczystości odznaczenia naczelnika Mydlarskiego (X) w Oświęcimiu; 1. naczelnik Sedlaczek. 2. insp. Kessler.

scu tablicy tylko wykuty w skale otwór z trzema tkwiącemi w niej śrubami. Tablicę wraz z śrubą czwartą wyrwali wandale ruscy ze wsi Lesienice. Od strony wschodniej, ściana skały jest pionowa, około 15 metrowej wysokości; obecnie Stowarzyszenie „Gwiazda“ z tej strony, na pionowej ścianie umieści nową, dużą tablicę w ten sposób, aby ręka wandalów nie mogła jej dosięgnąć.



Wycieczka do zagłębia krakowskiego: Grono uczestników wycieczki na mostku koło fabryki superfosfatów. 1. Minister dr. Dulęba, 2. Burmistrz Maryewski, 3. Marszałek hr. Badeni, 4. Antoni hr. Wodzicki, 5. Prez. dr. Leo, 6. Dyr. bar. Bahnhans

Nowa bursa w Krakowie.

Z inicyatywy towarzystwa burs i opieki nad młodzieżą rękodzielniczą, założono w Krakowie pierwszą bursę dla młodzieży rękodzielniczej i handlowej. W ten sposób zrobiono nowy, a bardzo śmiały krok w celu podniesienia naszego przemysłu rękodzielniczego i handlu, bo wytworzenie pokolenia dzielnych rękodzielników i handlowców najskuteczniej może pchnąć naprzód doniosłą tę sprawę. Nowej bursie nadano imię ś. p. Andrzeja hr. Potockiego.

Bursa mieści się w małym, ale własnym domku, ofiarowanym na ten cel przez gminę miasta Krakowa przy ul. Krupniczej. Na razie znajdzie w niej pomieszczenie tylko 20 uczniów rękodzielniczych i 10 praktykantów handlowych. O ile jednak społeczeństwo pośpieszy z wydatną na ten cel pomocą, będzie można instytucyę tę rozszerzyć i w bursie pomieścić spory zastęp młodzieży.

Z jak wielkim pożytkiem będzie to połączone, ile korzyści społeczeństwu przyniesie, zbyteczne chyba podnosić. Wiadomo powszechnie, że młodzież rękodzielnicza i handlowa rekrutuje się przeważnie ze sfer ubogiej ludności, gdzie rodzice nie mogą zapewnić swej dziatwie ani odpowiedniego wychowania, ani należytego wykształcenia. Rolę tę wzięła na siebie bursa im. Potockiego, czem oddać może i powinna wielkie zasługi całemu społeczeństwu.

Otwarcie i uroczyste poświęcenie bursy odbyło się w ubiegłą niedzielę przy udziale wydziału towarzystwa oraz wielu wybitnych osobistości. Przybyli więc prezydent miasta dr. Leo, wiceprezydent dr. Szarski, grono radców miejskich, delegat namiestnictwa Fedorowicz, delegat do rady szkolnej kraj. redaktor Konopiński, przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, posłowie dr. Bandrowski, dr. Petelenz, dr. Staniszewski, Federowicz, Maryewski z Podgórza i dr. Maiss z Bochni. Nadto przybyła hr. Zdzisławowa Tarnowska i hr. Adamowie Sierakowscy.

Aktu poświęcenia bursy dokonał ks. proboszcz Błonarowicz, który następnie wygłosił podniosłą przemowę do zebranych, oraz do pierwszych wychowanków bursy. Zabrał dalej głos prezes i inicyator towarzystwa burs i opieki nad młodzieżą handlową i rękodzielniczą, poseł bar. Jan Götz-Okocimski, podnosząc w swem przemówieniu korzyści, jakie dla społeczeństwa naszego, potrzebującego pracy i odrodzenia u podstaw, takie instytucye jak bursa, mogą przynieść. Przemawiali dalej prezydent dr. Leo, prezes izby rękodzielniczej Kosobucki, przedstawiciel kupiectwa krakowskiego p. Porębski, prezes Zarządu głównego T. S. L. dr. Bandrowski, oraz jeden z wychowanków, uczeń handlowy Misiński.

Na tem zakończyła się piękna i podniosła uroczystość.

Wycieczka do zagłębia krakowskiego.

Przemysł galicyjski koncentruje się przeważnie w zachodniej części kraju, w szczególności zaś w zagłębiu krakowskiem. Mnóstwo tu fabryk i zakładów przemysłowych z działu maszynowego, żelaznego, metalowego, chemicznego, ceramicznego, drzewnego, spożywczego, bardzo wiele przedsiębiorstw górniczych i hutniczych.

Do tej to siedziby przemysłu galicyjskiego wy-



Wycieczka do zagłębia krakowskiego: Nasz fotograf redakcyjny w chwili dokonywania zdjęć.

brała się na wycieczkę dwudniową krajowa komisya przemysłowa pod przewodnictwem marszałka St. hr. Badeniego, a przy uczestnictwie ministra Galicyi dr. Dulęby, kilku wyższych urzędników ministeryalnych z Wiednia, dyrektora kolei półn. bar.



Wycieczka do zagłębia krakowskiego: Marszałek hr. Badeni w towarzystwie sekretarza dra Benisa i radcy Tad. Epsteina w walcowni żelaza w Borku.

Bahnhansa, prezydenta Krakowa dra Lea, radcy rządu, dyrektora policyi w Krakowie dr. Flataua, radcy dworu Horoszkiewicza, grona posłów itd.

W pierwszym dniu wycieczki, w środę 12 bm., zebrali się uczestnicy na dworcu kolejowym krakowskim rano o 7, skąd osobnym pociągiem udali się do Borku Fałęckiego, gdzie zwiedzono Hutę Martina i walcownię żelaza stow. przemysłowego dla wyrobu towarów żelaznych i drucianych. Następnie udano się do Podgórza i zwiedzono akcyjną fabrykę sody amoniakalnej, fabrykę superfosfatów Gal. tow. akc. dla przemysłu chemicznego „Liban“ i „przemysł towarów żelaznych“, firmy L. Korngolda i Sp. na Zabłociu pod Podgórzem.

Po wspólnym obiedzie w restauracyi kolejowej w Krakowie, ruszyli uczestnicy wycieczki osobnym pociągiem pospiesznym do kopalń węgla kamiennego Gwarectwa węglowego w Brzeszczu. Po podwieczorku dalsza jazda do Oświęcimia, gdzie oglądano fabrykę pierwszego gal. tow. akcyjnego dla fabrykacyi śrób, nitów i muterek, fabrykę papy dachowej i wyrobów asfaltowych Emila Kuźnickiego i walcownię tow. akc. austryacko-węgierskich walcowni cynku.



Wycieczka do zagłębia krakowskiego: Przed odjazdem z fabryki superfosfatów.

Z Oświęcimia wrócono do Krakowa wieczorem. Dzień ten zakończyło zebranie towarzyskie w Grand-Hotelu w Krakowie.

Dnia następnego t. j. w czwartek pojechali uczestnicy wycieczki do Grzegórzek, do fabryki maszyn L. Zieleniewskiego i do fabryki drutu i gwoździ Braci Baumingerów. Z Grzegórzek koleją do Trzebini, gdzie nastąpiło zwiedzenie fabryki armatur i pomp inż. Karola Rudolphiego i Sp., pierwszej gal. fabryki impregnowania drzewa hr. Edwarda Myćielskiego i Sp. i hutę cynkową tow. akc. zakładów hutniczych i górniczych, dawniej dr. Lowitsch i Sp.

O 1 w południe odbył się wspólny obiad w restauracyi kolejowej w Trzebini, poczem zwiedzono zakłady górnicze i kopalnie w Sierszy i Jaworznie.

Nakoniec udali się uczestnicy wycieczki do kopalni tow. akc. górniczego i przemysłowego w Borach.

Z powodu bardzo ograniczonego czasu, wycieczka mogła uwzględnić tylko te przedsiębiorstwa Zagłębia krakowskiego, które posiadają dogodną komunikacyę kolejową z Krakowem.

Mimo to cel wycieczki osiągnięto i zaznajomiono się bardzo dokładnie ze stanem galicyjskiego przemysłu. Bardzo dobrze, że w wycieczce wziął udział grono urzędników ministeryalnych z Wiednia. Przypuszczać należy, że tego rodzaju częste komunikowanie się urzędników wiedeńskich z Galicyą, wpłynie na zmianę ich opinii o naszym kraju i na przychylne traktowanie postulatów w dziedzinie przemysłu.

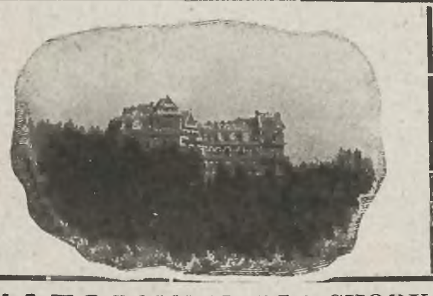


Wycieczka do zagłębia krakowskiego: Odjazd z Borku do Podgórza. 1. Marszałek hr. Badeni, 2. Prezydent dr. Leo, 3. Minister dr. Dulęba, 4. Dyr. bar. Bahnhans, 5. Dyr. dr. Flatau.



Wycieczka do zagłębia krakowskiego: Eksc. minister dr. Dulęba w towarzystwie starosty podgórs. hr. Starzeńskiego i radcy Winiarza, po przybyciu do Borku.

Nadesłane



SANATORYUM DLA CHORYCH PIERSIOWO

W ZAKOPANEM

pod kierunkiem Dr. K. DŁUSKIEGO

otwarte przez cały rok. Wspaniały widok na tatry. Lasy świerkowe. Wystawa wszystkich pokoi południowa. Obszerne leżalnie dla leczenia klimatycznego. Wzorowe urządzenie pod względem hygieny. Oświetlenie elektryczne. Kanalizacya, windy, kąpiele i natryski. Ogrzewanie centralne. Wodociąg zimnej i gorącej wody na wszystkich piętrach. **Cena całkowitego utrzymania wraz z opieką lekarską wynosi 9 K dziennie, pokoje od 2 K dziennie.** Powozy na zamówienie pociągu. Poczta, telefon i telegraf w Zakładzie.

ZAWIADOMIENIE.

Lecznicę moją lekarsko-kosmetyczną zaopatrzyłem w najnowsze przyrządy elektryczne wedle wymogów nauki ostatniej doby.

Usuwam nimi: znamiona, brodawki, kurzawki, pieprze, zaczerwienienia, i t p. twory skóry, bezboleśnie i bezkrwawą metodą. Mniejsze twory usuwam radykalnie na jednem posiedzeniu.

Leczę wady cery twarzy, **wypadanie włosów**; zagęszczam przerzedzone włosy.

Powiększyłem laboratoryum chemiczne do badań kosmetycznych środków, w handlu będących, oraz laboratoryum bakteryologiczne w zakresie chorób włosów.

Zamiejscowym udzielam wyjaśnień szczegółowych w kwestyach zabiegów stosowanych w lecznicy — listownie.

Dr. L. LUSTER

specyalista lekarskiej kosmetyki i chorób włosów.

Kraków, Floryańska 37.

Panna do szycia

znajdzie zaraz zajęcie w domu prywatnym. — Zgłoszenia pod L. 7 ulica Zacisze, I. piętro.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 18.

Logogryf: Lucyan Rydel

Zagadka: Ski, iks.

Szarada: Teleskop.

Łamigłówka: Mozart.

Szarada: Ospalec.

Zagadka literacka: W roztokach.

Szarada: Ikar, raki.

Zagadka przysłowiowa: Gdzie kucharzy sześć, tam nie ma co jeść,

Szarada: Maraton.

Łamigłówka: Czas to pieniądz.

Szarada: Franklin.

Szarada: Boksery.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: O. Górkrwa Chyrów, A. Liebeskind Kraków, W. Czapski Kraków, W. Grzywiński Warszawa, L. Armhaus Rzeszów, B. Gliński Warszawa, R. Zubek Koło, M. Szachnowicz Lwów, K. Kozłowski Kraków, M. Ostrowski Lublin, D. Domański Stanisławów, S. Lindenbaum Kołomyja, W. Szybalski Tarnów, W. Brzegowski Kraków, M. Lewicki Kraków, T. Buk Lwów, K. Stępień Lwów, Z. Łastowski Warszawa, K. Grochowski Kraków, B. Czerkawski Płock, M. Moszkowski Ryga, K. Karabiński Lwów, Z. Koszmnski Warszawa, S. Lachowski Kraków, W. Wójcik Bochnia, K. Misiagiewicz Lwow, M. Maciejowska Stanisławów, W. Wojciechowski Rzeszów, J. Kopsztyński Kraków, St. Karwowski Poznań, T. Nikiel Kraków, F. Horak Lwów, B. Michalec Wieliczka, S. Zaremba Kraków, F. Schmidt Stanisławów, A. Zrazowski Czerniowce, J. Mogilnicki Dukla, W. Fleschmann Kołomyja, S. Staniszewski Brzeżany, A. Bileski Tarnopol, J. Gryziecki Przemyśl, K. Luiński Rzeszów, S. Cześnikiewicz Kraków, A. Brandys Łukawica, J. Sułkowski Łukawica, A. Bocsoń Bóbrka, J. Augustynowicz Żywiec, A. Połończykowa Żywiec, K. Fuchs Czeremchów, J. K. Januszewski Podgórze, E. Jezierski Kraków, E. Bandrowska Kraków, S. Danziger Osiny, S. Krapilik Ostrawa, J. Briginowicz Lwów, J. Widuchowski Tarnopol, G. Żelechowski Czerniowce, H. Chodkiewicz Warszawa, W. Ossowski Warszawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *K. Luiski Rzeszów.* Prosimy o nadesłanie 35 hał. na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. K. J. Sokołowski Śniatyn: Zagadki w marcu otrzymaliśmy. Umieścimy je w miarę miejsca.

WP. A. Brandys Łukowica: Generalnym zastępcą fabryki rowerów Pucha w Grazu jest w Krakowie firma Liebman i Machauf, ulica Lubicz.

WP. A. Pilecki Pezemyśl: Z łaskawej oferty skorzystać nie mogliśmy, gdyż sprawa była nieco spóźniona,

WP. Mokrzycka Koło (gub. Kaliska): Raczy się WPani zwrócić wprost do profesora Uniwersytetu krakowskiego Dra Stanisława Krzyżanowskiego (Kraków, ul. Sławkowska l. 31), wymieniając pokrótce rodzaj swych zbiorów, a on wskaże odpowiednie miejsce.

Głosy publiczne.

„O maju, piękny maju!... tak śpiewają dzieci. starsi słysząc to, uśmiechają się pobłażliwie: O tak, maj to piękny miesiąc. Lecz nawet w tak miłym miesiącu, a szczególnie przy używaniu świeżego powietrza, należy być ostrożnym. Maj jest właściwym czasem przejściowym, a osoby o wrażliwem zdrowiu niech pamiętają o tem, że przezorność nigdy nie zaszkodzi. Fay'a Sodeńskie prawdziwe mineralne pastylki, oddają, jak nas zapewniają, w tym kierunku znakomite usługi.

Piękne nowości letnie zawierają kollekcye próbek i illustrowane żurnale mód, które Grand Magazin „Au Prix Fixe“ Wien I. Habsburgergasse 1/7 na żądanie darmo i opłatnie wysyła. (Odsyłamy Czytelnika do dzisiejszego inseratu).

Z półek księgarskich.

Najstarsza nasza instytucya oświatowa *„Macierz Polska“* wydała zupełnie na czasie książeczkę p. p. **„O autorze Kościuszki pod Racławicami W. L. Anczycu“** pióra prof. Jana Magiery. Omówił w niej autor przystępnie wszystkie ważniejsze utwory dramaturga ludowego i oświetlił należycie tę postać, jako typowego pracownika na polu narodowem i oświatowem, a równocześnie jako wzór niezłomnej wytrwałości i rządności dla potomstwa odradzającej się Ojczyzny. Książeczka liczy stron druku 71, cena jej bardzo niska, bo tylko 40 hal. Spodziewać się należy, że z okazyi odbytego w bieżącym tygodniu obchodu Anczycowskiego broszurka niniejsza znajdzie jak najszersze rozpowszechnienie, na co w zupełności zasługuje.

„Dwa światy“ *Leona Wiesenberga.* Sztuka w pięciu odsłonach. Kraków 1909. Nakładem Gebethnera i Spółki. Autor wprowadza nas w wir walk, nurtujące obecne pokolenie i usiłuje wskazać drogę do wspólnej pracy „dla dobra ludu“. Przesądy i zacofanie starych — jak autor je nazywa — ścierają się z nowemi ideami, z nowymi prądami. Akcya z początku przejrzysta i potoczysta traci cokolwiek w dalszym ciągu skutkiem przedługich nieco tendencyjnych tyrad. Błąd ten położyć należy na karb zapału i temperamentu autora, który zapatrzony w swoją myśl przewodnią zapomina o technice i wymogach scenicznych. Usterki te jednak nie przynoszą uszczerbku autorowi, który godny jest uwagi z powodu szczerego, niekłamanego ognia, z jakim autor kreśli swoje socyalne poglądy. Szata zewnętrzna przynosi zaszczyt nakładcy i drukarzowi.

Grupy losowe na spłaty miesięczne

1 los państw. z r. 1864 cały	Ciągnienie 1 czerwca! Główna wygr. 300.000 K.
1 los turecki 400 fr.	Ciągnienie 1 czerwca! Główna wygrana 300.000 fr.
1 los wied. Komun. z r. 1874	Ciągnienie 1 lipca! Główna wygr. 300.000 K.
1 los kredytowy z r. 1858	Ciągnienie 1 lipca! Główna wygr. 300.000 K.
1 los Zakł. kred. I. em. 3%	Ciągnienie 16 sierpnia! Gł. wygrana 90.000 kor.

Na 36 spłat miesięcznych po 70 K lub 28 rb.

Kupujący otrzyma oryginalny kwit ratalny i gra po złożeniu pierwszej raty.

Loterya Państwowa 4 koronowa

Główna wygr. 200.000 kor.

18.399 wygr. w gotówce — 513.600 koron.

Ciągnienie 17 czerwca 1909 r.

2 losy tylko 7½ kor. - 3 ruble, 5 losów 18 kor. - 7 rb. 20 kop.

Poleca **Kantor wym. „Merkury“ Braci Eibenschütz w Krakowie, Rynek gł. 5.**

BAZAR KRAJOWY

W KRAKOWIE, RYNEK 20.

MEBLE WIKLINOWE

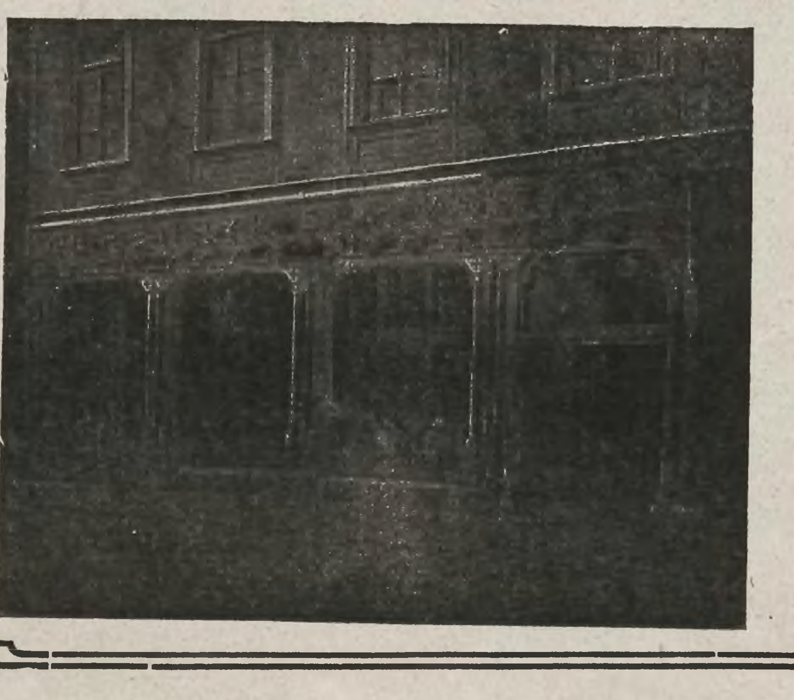
LEŻAKI.

Wyłączny skład szczotek

KRAJOWEJ FABRYKI NA ZWIERZYŃCU.

Korepetytor do języka niemieckiego potrzebny zaraz.

Zgłoszenia do Administracyi „Nowości illustrowanych“ Kraków, Zacisze 7, I. p.



HENRYK SCHWARZ

Magazyn towarów bławatnych i konfekcyi damskich.

Telefon 43 **Kraków, Grodzka 13** **Telefon 43**

Adres telegraficzny: HASCHWARZ KRAKÓW. Czek pocztowej Kasy oszcz. Nr. 800.803

Sprzedaż metrowa

MATERYAŁÓW NA SUKNIE, KOSTYUMY i BLUZKI.

Wełny od kor. 3 za metr. — Kapelusze, rękawiczki.

Własne pracownie.

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał **Gaston Leroux.**

12 (Ciąg dalszy).

Od przypatrywania się temu obrazowi oderwał mnie głos Rouletabille'a, który oznajmiał, iż śniadanie będzie podane w południe. Ubranie jego, powalane cementem i wapnem świadczyło, iż przebywał już między mularzami. Zapytałem go, czy widział człowieka, bijącego morze. Odpowiedział mi, iż był to Tullio, który straszył ryby i napędzał je w ten sposób do swoich sieci. Zrozumiałem teraz, dlaczego Tullia nazywają „katem morza". Dowiedziałem się także od Rouletabille'a, iż wypytywał Tullia o człowieka, którego woził wieczorem po morzu; rybak odpowiedział, iż nie znał wcale swego pasażera, iż dał on mu pięć franków, by go zawiózł z Mentony na cypel Czerwonych skał.

Ubrałem się pospiesznie i zeszedłem do Rouletabille'a, który zakomunikował mi także, iż na śniadaniu będziemy mieli nową osobę: mianowicie starego Boba. Oczekiwano na niego, by siąść do stołu, lecz ponieważ nie zjawiał się, zasiedliśmy do śniadania na terasie wieży Karola zuchwałego. Ach! jak natura ludzka jest zmienną. W blasku słońca zapomnieliśmy o trwogach nocy i z uśmiechem wspominaliśmy o zbrojnem czuwaniu... gdy nagle zjawił się stary Bob. Rzadko spotykałem postać tak komiczną jak stary Bob spacerujący wśród największego żaru południa w czarnym cylindrze, w czarnym anglezie, w czarnej kamizelce, w czarnych spodniach, z czarnemi okularami, z siwemi włosami i różowemi policzkami. Wszyscyśmy się roześmieli i stary Bob z nami.

Co robił ten stary uczony w forcie Herkulesa? Dlaczego opuścił swe zbiory, ulubione swe prace, swoje muzeum w Filadelfii? — Jak już wiadomo Artur Rance był uważany za wybitnego frenologa, z biegiem czasu zyskiwał sobie coraz większe uznanie uczonego świata, nie przestając ani na chwilę prowadzić swych poszukiwań. Właśnie podczas poślubnej jego wycieczki na jasne wybrzeże, odkryto na Czerwonych Skałach w grocie zwanej *Barma Grande* szkielety ludzkie z epoki czwartorzędnej. Młodzi małżonkowie udali się zaraz na miejsce wykopalisk i gdy Artur Rance dnie swoje spędzał na mierzeniu czaszek naszych przodków, pani Edyta znajdowała przyjemność w chodzeniu po skałach i przypatrywaniu się murom tego potężnego fortu, który był wystawiony na sprzedaż. Artur, chcąc zrobić miłą niespodziankę swej młodej małżonce, nabył go i ofiarował jej w prezencie. Przepełniona radością pani Edyta sprowadziła zaraz rzemieślników, odnowiła niektóre części zamku i w nim założyła swe rodzinne ognisko.

Artur Rance po obejrzeniu szkieletów zatelegrafował zaraz o nich do wuja swej żony: depesza jednak nie zastała w domu starego Boba, który już jechał do Europy. Widocznie dzienniki powiadomiły go o odkryciu. W kilka dni potem amerykański profesor był już w forcie Herkulesa. Wesołość starego Boba wydała się nam trochę teatralną, lecz to może skutkiem wczorajszego niehumoru. Pani Edyta przedstawiła go nam, przyczem on wydał jakiś dziwny głos, jakby powitanie Patagończyków, wśród których długo przebywał i zaczął się znowu śmiać. Stary Bob był rozradowany i wkrótce poznaliśmy przyczynę tego. Z pobytu swego w Muzeum paryskiem wyniósł przekonanie, że szkielet znaleziony w *Barma Grande* nie jest starszym od tego, jaki on przywiózł z Ziemi Ognistej. Trzeba było widzieć, z jaką radością opowiadał o odkrytych przez siebie szkieletach i o ich wyższości nad innemi i jak się przytem śmiał wesoło! Pani Edyta jednak zdobyła się na okrucieństwo przerwania uciechy starego Boba, mówiąc mu, iż książę Galicz, właściciel groty „Romeo i Julia" dokonał niezwykle sensacyjnego odkrycia. Na drugi dzień po odjeżdzie starego Boba do Paryża spotkała księcia, jak niósł ostrożnie w rękach szkatułkę, mówiąc iż ma w niej prawdziwy skarb, nie chciał go jednak pokazać, gdyż ma to być niespodzianka dla starego Boba, wreszcie po prośbach wyznał, że odkrył najstarszą czaszkę.

Pani Edyta nie dokończyła jeszcze zdania, gdy cała wesołość starego Boba runęła: na wykrzywionych jego rysach zamalował się straszny gniew; krzyknął:

— To nie prawda!... Najstarsza czaszka należy do starego Boba! stary Bob ją ma!

I znowu wołał:

— Mattoni! Mattoni! przynieś zaraz mój kufer, tutaj!... tutaj!...

Właśnie Mattoni przechodził przez dziedziniec z kufrem starego Boba na plecach. Posłuszny profesorowi przyniósł go przed nas. Bob ukląkł przy nim, otworzył i z pośród bielizny dostał tekturowe pudełko od kapelusza, z którego wyjął czaszkę i postawił ją na środku stołu pomiędzy filiżankami do kawy.

— Najstarsza czaszka — rzekł — oto ta!... To jest czaszka starego Boba!... Proszę patrzeć!... To ta! Stary Bob nigdy nie opuszcza swej czaszki!..

I zaczął ją głaskać delikatnie, śmiejąc się znowu. Jeżeli zwrócimy uwagę na to, iż mówił on słabo po francusku z wymową na poły angielską na poły hiszpańską — władał biegle tym językiem — wtedy dopiero będzie można wyobrazić sobie całą scenę, jakiej byliśmy świadkami. Rouletabille i ja trzymaliśmy się za boki ze śmiechu. Przytem stary Bob, przerywając swój śmiech, zapytywał nas groźnie, z czego się śmiejemy. Gniew jego rozśmieszał nas jeszcze bardziej, zarażał śmiechem wszystkich, tak iż pani Darzac aż łzy płynęły ze śmiechu.

Naraz stary Bob stał się poważnym i zaczął dowodzić starożytności swej czaszki, ja go jednak nie słuchałem, *lecz patrzyłem na niego*. Nie chciało już mi się śmiać. Stary Bob wydał mi się strasznym, chytrym ze swoim fałszywym śmiechem i udaną uczonością. Nie spuszczałem z niego wzroku. Wydało mi się, że *włosy jego ruszają się*. Tak, jak rusza się peruka. Myśl o Larsanie, która nigdy nie opuszczała mnie zupełnie zjawiła się znowu; chciałem się raz odezwać, gdy jakaś ręka wsunęła mi się pod ramię i zostałem pociągnięty przez Rouletabill'a.

— Co ci jest?... zapytał mnie czule.

— Nie powiem, gdyż będziesz się śmiał ze mnie.

Nie odpowiedział nic, lecz odsunął się ze mną zupełnie na bok i gdy rozglądając się w koło przekonał się, że jesteśmy sami, rzekł:

— Nie, mój drogi, nie.. nie będę się śmiał.. masz słuszność, *upatrując go wszędzie między nami*. Jeżeli nie było go przed chwilą, może być teraz... *Mniej się obawiam go tam, niż tutaj!...* Szczęśliwy byłbym, gdyby mury, które mają przeszkodzić mu wejść, pomogły mi do zatrzymania go... *Czuję go tutaj!*

Ścisnąłem silniej ręką Rouletabille'a, gdyż i ja miałem to samo wrażenie... czułem na sobie oczy Larsana... słyszałem jego oddech... kiedy to wrażenie zaczęło się? Nie mógłbym tego określić... Zdawało mi się jednak, iż doznałem go przy zjawieniu się starego Boba.

Odezwałem się z niepokojem do Rouletabille'a.

— Stary Bob?

Nie odpowiedział nic. Po kilku chwilach rzekł:

— Bierz się co pięć minut prawą ręką za lewą i pytaj: „Czyś to ty, Larsan?" *A gdy odpowiesz sobie, nie bądź zbyt pewny, gdyż mógł cię okłamać i znajduje się już w twej skórze, gdy ty jeszcze o tem nie wiesz!*

Przy słowach tych Rouletabille zostawił mnie samego na murze. Tuż przyszedł do mnie ojciec Jakób przynosząc mi depeszę. Przed przeczytaniem jej powinszowałem mu dobrego wyglądu. Jak my wszyscy czuwał przez noc całą; odpowiedział, iż widok jego dawnej pani wreszcie szczęśliwej odmładza go o lat dziesięć. Starał się dowiedzieć odemnie, dlaczego przedsiębiorą się te wszystkie środki ostrożności: dodał nawet, iż jeżeliby ten straszny Larsan nie utonął, sądziłby, iż obawiano się jego powrotu. Zwróciłem mu uwagę, iż nie czas teraz rezonować, lecz należy spełniać skrupulatnie rozkazy bez wnikania w ich powody. Ukłonił się i odszedł. Był on widocznie bardzo zaintrygowany i chętnie widziałem jego podejrzenia co do Larsana, bo będzie lepiej strzegł drzwi. I on omal nie stał się ofiarą Larsana i tego nie zapomniał.

Depesza, którą mi przyniósł ojciec Jakób, okazała się nadzwyczaj ważną. Przyjaciel mój donosił mi z Paryża, iż Brignolles wyjechał wczoraj wieczorem na Południe o godzinie dziesiątej minut trzydzieści pięć i jak mu się zdaje wziął bilet do Nicei.

Co Brignolles ma do roboty w Nicei? To pytanie sobie zadawałem i żałowałem potem, iż nie przedstawiłem go Rouletabille'owi. Roześmiał się, gdym mu pokazał depeszę, że Brignolles nie opuszczał Paryża, ponieważ więc Brignolles ma tak mało dla niego znaczenia, nie będę go nim nudził. I zachowałem Brignolle'a dla siebie, nie wspominając o nim, gdym spotkał Rouletabille'a na dziedzińcu. Zajęty był właśnie umocowywaniem nakrycia na studni, aby na wypadek, gdyby studnia komunikowała się z morzem, nikt tą drogą nie mógł się dostać do zamku. Cały był spocony, z gołemi rękami, w których trzymał ciężki młot. Zwróciłem mu uwagę, iż za bardzo się męczy, nie mogłem pojąć dlaczego to czyni, dlaczego umyślnie zabija się pracą fizyczną, zrozumiałem to dopiero w pół godziny potem, gdym znalazł go śpiącego na kamieniach kaplicy, gdym usłyszał wymówione przez sen słowo. „Mamo!..." Rouletabille śnił o Damie w czerni!... Śnił, że całuje ją jak dawniej, gdy przybiegał do niej do parlatoryum w Kollegium w Eu. Zatrzymałem się przy nim na chwilę, bojąc się, czy we śnie nie zdradzi swej tajemnicy, wypowiedziane jednak słowo ulżyło jego sercu, sen jego stał się spokojnym. Zdaje mi się, iż dopiero teraz od przyjazdu naszego z Paryża spał on po raz pierwszy rzeczywiście.

Skorzystałem z tego i nie mówiąc nikomu ani słowa wyszedłem z zamku i pojechałem do Nicei. Po drodze przeczytałem w dzienniku nicejskim: „Profesor Stangerson przybył do Garavan, gdzie spędzi kilka tygodni w forcie Herkulesa w gościnie u państwa Arturostwa Rance. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że córka profesora Stangersona, której ślub odbył się niedawno w Paryżu, przyjechała również z swym mężem, profesorem Sorbony, panem Robertem Darzac".

Ukryty za oknem w sali bufetowej oczekiwałem nadejścia pociągu paryskiego, w którym mógł się znajdować Brignolles. Jakoż ujrzałem swego Brignolles'a. Zauważyłem, że pragnie przejść niepostrzeżenie. Przemknął się szybko między pasażerami ku wyjściu, lecz ja byłem za nim. Wskoczył do zakrytej dorożki, ja za nim do drugiej. Na placu Massena wysiadł, doszedł do Jetée Promenada i wsiadł do drugiej dorożki. Zachowanie jego wydało mi się coraz bardziej podejrzane. Nie spuszczałem go z oczu i podążyłem za nim aż na dworzec w Beaulieu. Zdziwiłem się, widząc, że odprawił dorożkę i wszedł do poczekalni. Co robić? Jeżeli chcę pojechać tym samym pociągiem, co i on, spostrzeże mnie na tej pustej stacyi. Szczęśliwie powiodło mi się wszystko, Brignolles nie dojrzał mnie. Wszedł do pociągu osobowego, jadącego w stronę granicy włoskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).